

# Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 26 lutego 1950 r.

Nr 8 (239)

STEFAN DYBOWSKI

## ORGANIZACJA KULTURY\*)

Jeżeli spojrzymy na okres działalności Ministerstwa Kultury i Sztuki, które od 1948 roku rozwinięło swą działalność w oparciu o decyzję Komitetu Ministrów do Spraw Kultury musimy przyznać, że zwłaszcza w roku 1949 zdołano szereg instytucji kulturalnych wprowadzić na drogę stałego rozwoju, upaństawiwiając teatry, opery, filharmonie, muzea i szkoły artystyczne. Nie ta jednak działalność jest najważniejszym zadaniem Resortu Kultury i Sztuki.

Istotnym zadaniem Ministerstwa jest obok administrowania instytucji i wchodzących w zakres twórczości kulturalnej i artystycznej, także opieka nad twórczością i kierowanie przemianami, które się w niej dokonują. Jest to problem sztuki nowego etapu historycznego, w którym potrafi ona znaleźć prawdziwy wyraz artystyczny dla przemian i dokonań charakteryzujących naszą rzeczywistość. Równocześnie sztuka, która by zniósła przepaść dzielącą twórcę od konsumenta.

Nie jest to zadanie łatwe. W pełni zdajemy sobie sprawę z trudności z nim związanych. Rozwój poszczególnych gałęzi sztuki w minionym okresie doprowadził je do rozwiązań formalnych, często niedostępnym dla przeciętnego konsumenta. Nie znaczy to oczywiście, abyśmy z tego powodu przekreślali całkowicie zdobycze owego okresu. Dzisiejszy muzyk, plastyk czy literat powinien korzystać ze wszystkich osiągnięć techniki artystycznej, zdobytych w jego dziedzinie przez pracę poprzednich pokoleń, musi je jednak przetworzyć w tygłu przeżyć własnych, a zwłaszcza przeżyć nowego społeczeństwa, dla którego tworzy, którego jest częścią składową.

I ten przede wszystkim problem zbliża dziś do siebie różne dziedziny sztuki. On też stał się główną troską Ministerstwa.

Oczywiście jest to zadanie, którego nie dokona żaden choćby najgenialniejszy pracownik administracyjny. Nie podoba mu też chociażby liczbą poważny zespół, najgenialniejszych administratorów, nawet w oparciu o wystarczający budżet.

Jest to problem nowej twórczości artystycznej i dlatego jego rozwiązanie oczekujemy od samych artystów. Od nich będzie zależeć jakie postawią sobie zadania oraz jak będą realizować zadania, postawione im przez społeczeństwo i epokę. Dążeniem Ministerstwa jest jedynie ułatwić im tę pracę i pomóc znaleźć właściwe drogi.

Realizując to dążenie Ministerstwo już w 1949 roku weszło na drogę organizacji licznych dyskusji, konferencji, zjazdów twórców. Zjazdy kompozytorów, literatów, plastyków, dramaturgów, filmowców, historyków sztuki, Festiwal młodej twórczości artystycznej w Poznaniu wykazały, że w twórczej krytyce i samokrytyce w ogniu dyskusji, w konfrontacji definicji i założeń teoretycznych z realną treścią artystyczną odkrywa się pierwsze założenia, zaczyna się budować fundamenty przyszłej polskiej kultury socjalistycznej.

Dlaczego tak wolno? Dlaczego tak trudno?

Jest to, sądzę, w pierwszym rzędzie trudny problem nowego człowieka. Nowy człowiek podczas okresu burz i niepokoju objawia się z całą siłą i całą wyrazistością w codziennej swojej działalności, lecz tylko z trudem i tylko z największym wysiłkiem może ten okres objąć w tak krótkim czasie swoim własnym przeżyciem artystycznym i odpowiedzieć własną twórczością na codzienny bieg wydarzeń. Nie wystarczy tu samo zdeklarowanie się, konieczna jest stopniowo narastająca wizja artystyczna własnego stanowiska.

Jest to zarówno problem twórcy, jak i problem odbiorcy. Ponieważ i twórca i odbiorca w przekroju jawią rewolucji ludowej dopiero po wstąpiu.

I dlatego o ile rewolucje społeczne są wyrazem historycznego skoku określonego w czasie i przestrzeni, o tyle na rewolucję kulturalną składają się długi i żmudny proces dojrzewania poszczególnych elementów nowej kultury. Proces ten musi zachodzić w pierwszym rzędzie w umysłach ludzi tworzących dzieła sztuki i w głowach ludzi chłonących dzieła sztuki.

I dlatego nikt z nas nie stawia za zadanie nowej kultury socjalistycznej w płaszczyźnie bezpośredniego

zamówienia na określone dzieło sztuki. Nowa sztuka, sztuka Polski socjalistycznej może powstać w oparciu o przeobrażenia społeczne kraju, w oparciu o udział najszerzych mas w rewolucji kulturalnej, tylko jako akt indywidualnego przeżycia, indywidualnego doznania samego twórcy, który zrozumie i pojmie istotę socjalistycznej rewolucji w naszym kraju.

Naszym zadaniem jest postawić przed artystą problematykę tak rozmałą w treści i tak różnorodną w formie, żeby wyczuł, żeby przeżył duszę odrodzonego narodu, jego walkę, jego cierpienia, jego radość i jego twórczość. Żeby twórczość narodu idącego w przyszłość stała się twórczością pisarza Polski Ludowej, żeby prawda człowieka pracy, twarda prawda, często bolesna, a także jednocześnie wielka w walce o nową lepszą przyszłość stała się prawdą ludzi pędzą i piora. Naszym zadaniem jest stworzenie dla artysty takich warunków, żeby zobaczył siebie w tworzącym się obok niego życiu, żeby zobaczył siebie w wielkim akcie nowych fabryk, żeby zobaczył siebie w wielkim akcie przebudowania ustroju rolnego, żeby w przeżyciach narodu zobaczył swoje przeżycia i dzięki temu żeby z kolei odbiorca zobaczył w jego dziele samego siebie.

Jeżeli to osiągniemy, to wygramy walkę o nową, polską, socjalistyczną twórczość artystyczną i tylko dzięki temu wygramy walkę o kulturę narodową naszej socjalistycznej epoki.

Drugie wielkie zadanie Ministerstwa, to sprawa udostępnienia poprzez teatry, koncerty, wystawy, film i wydawnictwa wytworów kultury i sztuki najszerzszym masom społeczeństwa. Nie jest to sprawa tylko ilości miejsc i ilości biletów, ilości książek i wystaw. To sprawa przekroju społecznego, odbiorców i ich przygotowania. I tu Ministerstwo spowodowało już zdecydowaną i stałą postępującą przemianę w układzie socjalnym odbiorców dóbr kulturowych.

W ciągu ostatnich dwóch lat masa odbiorców kulturowych przekształcała się z mieszczańsko-inteligenckiej na inteligencko-robotniczą i przy dalszej aktywizacji partii i związków zawodowych oraz niesłabnących wysiłkach Ministerstwa proces ten stale będzie się pogłębiał, zwiększając jednocześnie zasięg oddziaływania kulturowego ze szczególnym uwzględnieniem środowiska wiejskiego, zwłaszcza poprzez sieć imprez objazdowych.

W każdym razie możemy już dziś stwierdzić, że ze strony odbiorców kulturowych znikł już nacisk mieszczańskiej mentalności i mieszczańskich gustów na artystę. Czytelnik, widz i słuchacz jest już dzisiaj czynnikiem wpływającym dodatnio na ugruntowanie właściwej postępowej linii artysty.

Zmiana przekroju socjalnego odbiorców specjalnie jasno uświadomiła się w teatrze, gdzie umożliwiła nam trwale wprowadzenie do repertuaru sztuk radzieckich, których liczba w ciągu ostatniego sezonu wzrosła z 18 premier w 1947/48 do 41 premier w 1948/49 roku niezależnie od 17 premier rosyjskiej klasyki oraz pozwoliła nam podnieść liczbę współczesnych premier wartościowych społecznie z 66 do 78, zmniejszając jednocześnie ilość premier bezwartościowych społecznie z 99 do 28. Dane te są tymbardziej charakterystyczne, że ogólna liczba premier w roku 1948/49 spadła w rezultacie znacznie dłuższego okresu poszczególnych przedstawień z 571 do 301.

Oczywiście niemniej jednak jest to problem wymagający stałej czujności i nieustannego pogłębiania.

Następne wielkie zadania Ministerstwa to: sprawa przygotowania nowych kadr artystów, pedagogów i pracowników kultury, opieka nad ruchem amatorskim, jako podstawowym czynnikiem aktywizacji kulturalnej, opieka nad zabytymi w celu utrwalenia i udostępnienia ich masom, aby umożliwić im poznanie perspektyw przyszłego rozwoju przez poznanie zobiektywizowanych materialnych szczytowych przejawów minionych okresów, minionych etapów rozwoju, inicjowanie i koordynowanie badań naukowych w zakresie kultury i wreszcie wzmocnienie propagandy naszego dorobku artystycznego zagranicą.

Stefan Dybowski

\*) Fragment referatu, wygłoszonego na Kom. Sejmowej.

Włodzimierz Majakowski

## Hasta — Rymy

Dziesięć minęło lat,  
Wróg wciąż  
o najeździe śni.  
Może znowu  
z wojennych szlaków  
kurz poderwa  
tętniące dni.  
Wróg jest gotów.  
Gdy bitwa grozi,  
ucz się,  
w żołnierskim szeregu  
kroczyć.  
Ucz się,  
gdy atakuje  
złośliwy gaz cię,  
w oka mgnieniu  
śmierci  
pokazać maskę.  
Kto uśmierzy burzują,  
co na odcisk  
włazi nań?  
Umiej dać sobie radę  
z cekaemu taśmą.  
Wróg się  
diabelski  
szykuje do szturm, —  
umiej  
bagnetem  
wiercić w brzuchu dziury mu.  
Ententa nawiewa, —  
kto dopędzi teraz ją?  
wroga szajkę gonić  
ucz się, kawalerio.  
Koło fabryk  
dywersanta  
rozlega krok się.  
Towarzyszu  
naganem  
ucz się władać  
dobrze.  
W bloku zatoki, floto,  
nie wieki stać ci.  
Marynarze,  
flotę radziecką  
wzmacniajcie!  
Tylko ucichł,  
lecz nie zgasił  
bitwy ogień.  
Komsomolcze i komsomolko,  
bądźcie gotowi.  
Serce  
republika  
z armią stopiła —  
któraż masa twardość,  
jak ten stop,  
zachowała?  
Armia Czerwona —  
to nasza siła.  
Naszej  
Armii Czerwonej  
chwala!  
1928  
Przełożył Wiktor Woroszyński

Władysław Machejek

## Miechowskie patrzy na Wysocice

Powoli jak po smole tłuki się do Miechowa traktor w dół świeżo remontowaną drogą „wobromską”. Z tyłu waz kurzu. Słońce wrześnie łagodnie paliło i pachniało jak dojrzały winnik. Z rozorywanych ściernisk niósł się silny aromat, jakby rozgrzebywano pokład złót.

Młody traktorzysta drzemał przy kierownicy. Nagle na pełnym gazie wycwalał pod górę samochód ciężarowy. Szofer dał sygnał ostrzegawczy. Traktorzysta ocknął się, silnie nacisnął kierownicę. W tym momencie ciężarówka zawadziła o przód traktora i runęła z trzaskiem na bok. Usmarowany szofer z trudem wydobył się zza kierownicy, pierwsze przeobrażenie minęło, ból głowy, którą uderzył o strzaskany licznik, pomógł wściekłości. Nie obeszło się bez „takich owakich”. Zrozumiałe.

Z jarmarku powoli wlekli się chłopcy na furach, rozgadani o cenach tekstyliów i butów na straganach. Furmanki stawały sznurem. Napór cizby odsunął pniącego się w przekleństwach szofera od traktorzysty. Stał on z pokrzwawionymi rękami obok rozwalonego traktora, błady, tłumacząc się beznadziejnie. Język kleił się do zalażonych brudem ust. Przecierał beznadziejnie oczy.

— Skądżeś ty?  
— Z Wysocice.  
Brzuchaty chłop podsunął łokieć pod brodę traktorzysty, obłudny uśmiech zgasił mu na twarzy.  
— To i spółdzielnia się skończyła!

wysunął dolną wargę pogardliwie i splunął, jakby na drodze nie stał potulony człowiek, ale leżało łajno. Wyorywacz — techniczny symbol — nowych wartości na wsi — traktor, leżał rozbity...

— Masz pozwolenie? — teraz szofer doskoczył do traktorzysty.  
— Nie.  
— No to jakże?  
— Trzeba było orać, czas najwyższy, to i orałem, bo ośrodek maszynowy podjął się to zrobić dla spółdzielni — klarował swe stanowisko niepewnie. — Był niejaki Głamas na kursie w Opolu, ale tam uczyli tylko na Bulldogach i Fergussonach, a tu dali „Zetor”. Nie miał pozwolenia na „Zetor”, to i nie chciał orać. TOR zabrało Głamasa na dodatkowe przeszkolenie. A Komitet Powiatowy wziął na siebie odpowiedzialność za tego, kto podejmie się dalszych prac w polu na drugim „Zetorze”. Zgłosił się sprytny, mający żyłkę do mechaniki Chwastek, członek spółdzielni. Nie, nie mogło być „końca” spółdzielni. Orka dopiero objęła pierwszą polać ziemi.

W podmiechowskiej, bogatej Brzuchani kulał Niechciół trząsł się na wiadomość o katastrofie traktora.  
— Kropka — powiedział. — Było bioto w Wysocicach, będzie bioto... Nie można świata do góry nogami przewrócić. Kropka.  
Wtórowali mu na odległość inni bogacze — z Golczy. Zły uśmiech

rozsiwał Wiktor Sygula, krztusząc się słowami o „drace” wysokiej.  
— Biskup Kaczmarek mówił na majowej wizytacji w Czaplach Wielkich, że nieznanym jest los Wysocice, które dąży do spółdzielczości. Ot i macie fakt, wyprorokował...

Bachulski Władek z Wysocice obracał powątpiewająco kędzierzawą głowę. Wyjął rękę z kieszeni, oponował dwoma zmarszczkami na czole.  
— Tamci bzdą na takie gadanie — przeświadczał leć kulała jedynymi słowami. „Tamci” oznaczało „my”.  
Któż nie pamięta biskupa Kaczmarka? Z tej samej kazalnicy, z której dawał prtyka spółdzielni produkcyjnej, ksiądz proboszcz odczytywał jego list pasterski w 1941 roku, nawołujący do lojalności wobec Hitlera i potępiający pierwszych ochotników wolności.

— Nie mogę się z wami zgodzić — tłumaczył już po przeoraniu miedzi Gajkowski, zdrowy, wyżarty 25 hektarowiec z Wysocice. Jakże się liczył jakimś głodupocowi z pół hektarem do mnie, a choćby i Mietkowi Majchrowskiemu. Cóż jego 5 ha do mojego pola i mojego lasu? Nie, nie mogę się zgodzić, chociaż spółdzielczość piękna rzecz.

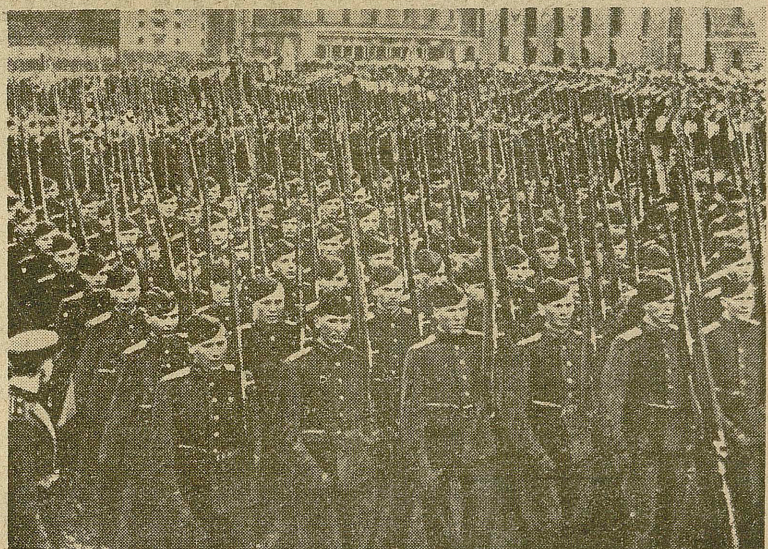
Przewodniczący spółdzielni „Przodownik” średniego wzrostu Pietrek Kurach mocno przymknął oczy. Mocno także westchnął. Ze zboczy wznieślenia na wschód od wsi pachniało grzybami, to znów pieczonymi

ziemniakami. Siwy dym płał się, szybko zapadał pożerany przez mokre powietrze rozpadlin. Wokół słońca krążyły, jak liście na wietrze, odlatujące ptaki. Towarzyszowi Pietrkowi przenikliwe błysły oczy.

— Wy mnie tu nie paprzcie głowy. Nie, to nie. I tak by mi was teraz wylali. Wilk się nie zgodzi ze spokojnym stadem. Wtedy — na początku organizowania spółdzielni — byłem głupi, jak dzurawy but. Bałem się oporu, bałem się walki i tutejsza partia też się bała walki z możnymi, zatłuszczonymi flakuniami. Wyście mieli być przynętą... Prosiłm was o przewodzenie zebraniu. Pfu, jakim ja był ślepy. Teraz wiem! Spółdzielnia musi mieć wyraźne, klasowe oblicze, żeby była własnością mało i średniorolnych. Jeżeli dziś u tego czy owego członka obserwuję apatie, to z powodu błędu, jaki popełniłm przy zakładaniu, kumając się z wami, szanowny Gajkowski... Ostałm się poparcie mało i średniorolnych dla spółdzielni, trucizna strachu przed wami nie przestała jeszcze całkowicie działać.

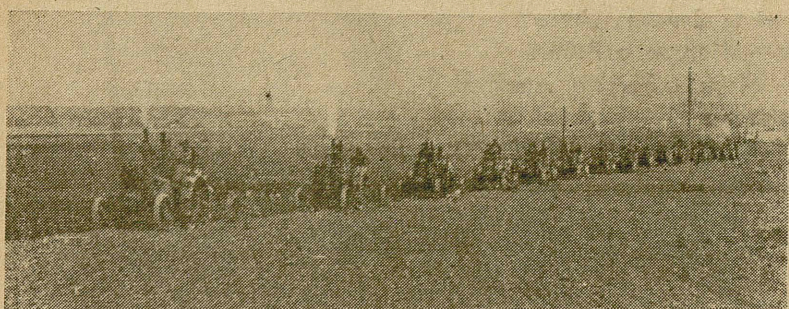
Puknął się zgiętym palcem w szerokie, jasne czoło.  
— Gdzie sens był, gdzie rozum? Nie idea, ale kulał miał być atrakcją nowego życia. Czy by się co zmieniło? — To też uczciwie postąpiłem — nie chciałem przystąpić do spółdzielni, po co miałem być komu solą w oku?

(Dalszy ciąg na str. 2).



W 32-gą rocznicę powstania Armii Radzieckiej





(Dokończenie na str. 1-cj)

— Tak, przy zapisywaniu się do spółdzielni wyście ryknęli, że wy nie... Chcieliście średniaków, powstrzymać, odciać ich od biedoty. Że to niby inny rodzaj chłopów...

Zachnął się Gajkowski, podłubił jego twarz jeszcze bardziej zbladła.

— Przecież Majchrowski przystąpił i Chwastek też do średniaków.

— Właśnie, mimo żeście się położyli w poprzek drogi. Nie mogliście powiedzieć „nie pozwalam”, to pokazaliście rogi inaczej.

— Co za gadanie, obrażacie — zabrał się do odcieczki bez poezgania. — Stary ludowiec jestem... Chłopów bronilem przed dziedzicem Milewskim.

— Wybroniłście 25 ha dla siebie — głos Kuracha stwardniał, oskarżał — Lu-do-wieć, psiekrew! Dziś prawdziwi ludowcy idą z nami, PZPR-owcami. Zresztą ludowiec i... 25 ha?

Umysł Gajkowskiego był już poza pozorami rozsądnej dyskusji.

— I tak te spółdzielnie zmarniły, nieroby poszli do was...

— Ale nieroby potrafili pracować u wyższych, tak?

— Trza takich pilnować, leżałby do góry brzuchem.

— Pewnie, mieli rację, na portki nie zarobili, nie dojechali...

Gajkowski usiłował spiorunować rozmówcę wzrokiem, zeszyc oczami nieczym gradem.

Z nimi bez ceregieli — denerwował się zazwyczaj spokojny Czekaj Teofil, po zlikwidowaniu rozbiłackiego manewru Gajkowskiego na zebrań założycielskim. — Żadnego wstępu do niego mają, a my się wstydzimy naszych praw.

Ten właśnie Czekaj krzyknął podniecony na następnym zebraniu, gdy zobaczył wśród członków spółdzielni zasobnego młynarza Kacmarczyka. — Tyś tu jeszcze? Wsiłgniesz się, bo się boisz umrzeć ze starym... Dziecie go, spó-dziel-ca!

— Chcesz ty, Teofil, żyć?? To i ja chcę żyć — tłumaczył.

— Taakisz? czynim młynarza zeżlił połowę zebranych. — Takis to ty, jak i my? Ty nawet dziesięć kroków boisz się chodzić pieszo, żeby ci nie zaszkodziło, o, koniem se jeździsz — i dziesięć rak wyciągnęło się w kierunku okna, za którym stał wypasiony gniazdosz młynarza. — Gdybyś mógł, tobyś i do wychodka jeździł — docinał.

Kurach jako przewodniczący zebrania i spółdzielni zastukał w pokrzywiony stolik. Nawoływał do porządku. Sam zwrócił się do sali, a później wprost do młynarza.

— Ja w sprawie formalnej... Fakt, że źle się stało, niezgodnie ze statutem. Zebranie tu rozsądzi. Ja jedno jeszcze pytanie... „Przedownik” w Wysosicach jest spółdzielnią drugiego typu. Gdybyśmy uchwalili trzeci typ, przystąpiłbyś?

— Cemu nie? — zachłysnął się zapewnieniem młynarz. — Ja zawsze z gromadą razem.

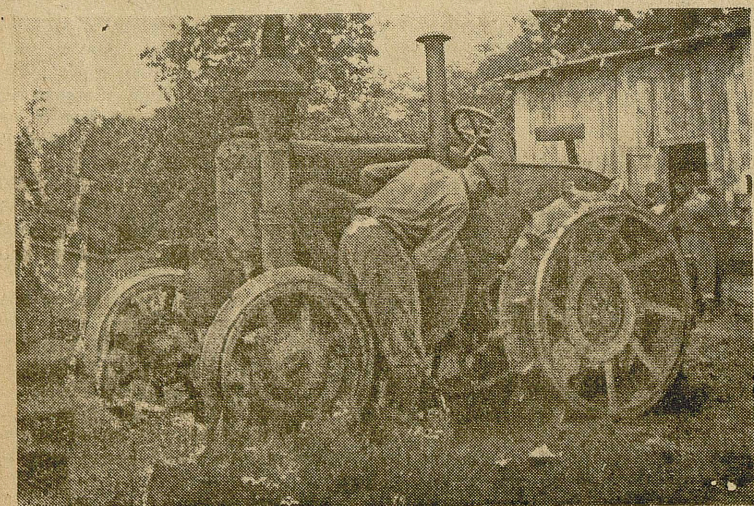
— To wobec tego — Kurach powoli, dobitnie wyciągał wnioski z oświadczenia — przypisz młyn na spółdzielnię. No tak... Będziemy równi.

Zebrani zaparli dech. Jak na komendę zwrócili głowy na młynarza. Uciekała krew z jego twarzy. Niby zastanawiał się, a cały wewnątrz dygotał z przerażenia i oburzenia. Wreszcie niezgrabnie jak niedźwiedź uklonił się.

— Niestety, nie skorzystam z towarzystwa. Proszę mnie skreślić z listy członków — wyrzekł patrząc w ziemię i wyszedł. Odwiał konia od drzewa i uderzył go lejcam przez pysk, który chciał lizać pana. — Zabaw ci się zachciewa? Masz! Dośiadł i galopem popędził w górę wsi.

Zebranie powróciło do sprawy. Uchwalono jednogłośnie wykluczenie Kacmarczyka z członkostwa spółdzielni. Było jasne — statut drugiego typu przewidywał podział 20 — 25 proc. dochodu spółdzielni proporcjonalnie według wniesionego majątku. Młyn otakowany na miliony, przynosiłby nie mniejsze zyski Kacmarczykowi, niż obecnie. I to spółdzielczo, psiekrew! Chłopska spółdzielnia pokazała klasowe zęby! Członkowie przepalali się ogniem walki.

Kurach szedł ścieżką pod górę na pola spółdzielcze pod Żarnowice. Stamtąd dochodziło parkanie traktoru, jakby zdobywał ciężkie przeszkody.



dy. Wyłoniła się najpierw jasna głowa Chwastka, później potężne gumy kół. Z ciemnych skib, nabijanych gęsto margiem, wywiewał pył.

— Trudno? — pytał i konstatował Kurach i butem przewalił niedobrze porośniętą miedzę. Po polu lażyły rozczapierzone wrony.

Chwastek zapalił papierosa.

— II, koniem to źle. Tu bierę trzy skiby i fyrk... jak ptaszek. Ino na oliwę trza zwracać uwagę — przypomniał sobie. Byłem w Capeenie i zmienilem, tamta zanieczyszcza tryby.

— Skończysz według planu?

— No, dziś trzy hektary odwałę. Nierówna ziemia, a na miedzach można lemieście połać, trza ostrożnie.

Kurach obrócił się powoli, ze wschodu na zachód, z południa na północ, mierzył oczami obszar, przeliczał na traktoro-dniówki. Przelotnie zerknął na obłoki, rozpuszczające dymne pasemka. — Nie, mój drogi — decydował. — Pogoda trwa zbyt długo, może tak być miesiąc, ale i tylko tydzień. Trza się pospieszyć. Przysięść ci tu brony, uwiążesz za plugiem i dwie roboty naraz odstawisz. Jutro wyjedziemy siewnikiem siac... Już pięć koni zgłoszono do spółdzielni.

— A co tu będzie siane? — Chwastek pociągnął ostatni łyk dymu, wypilił kciuka i dogonił celnie śliną. Zasyzczał.

— Tu jedenaście hektarów pszenicy, tam dziesięć hektarów żyta.

— A tam? — Chwastek podrzucił brodę i poprowadził oczy Kuracha na obszar spółdzielczy na drugim przeciwstawnym wzniesieniu tuż przy starodawnym kościele z białego kamienia ciosanego. Z rozłożystego kasztana wyfrunęły naraz cztery bociany. Zawinęły pętle w powietrzu, jedna, druga, trzecia.

— Odcieć — zauważył Chwastek martwym głosem.

Kurach pokłwał głową. — Ale przyłecą — pomyślał. — Tam będzie lawenda — powiedział głośno. Jeszcze inne ziola zaplanujemy. Zielarstwo popłatna rzecz, w Polsce mało znana.

— Tytoni?

— Tu. No, to śmignij na tego swojego konia, jedź! Na drugi rok leć ci będzie, teraz jeszcze książki marsza grają.

Kurach zeszedł nad wążutką, ale o głębokim korycie rzeczkę Dłubnie. Taplały się w niej gęsi, tęskliwie wydzierając gardła ku kluczom ich dzieci sióstr.

Po drodze spotkał członka zarządu, bezpartyjnego Majchrowskiego. Rozpoczęli rozmowę.

— Byłem w Krakowie, wiesz, Pietrek, ale... — zaczął się. Po pożyczce i materiał na szope. Wiecej jestem w Ceeresie, zlatywałem gładko wszystkich, aż tu dochodzi do mnie jakiś ty-sawu gulon i mówi, pluje po cham-sku: — „wy grzebiecie po staremu ziemi, a nie o spółdzielni myślcie. Hi — śmiał się — już tam chłop poprawia dzi interes! Pyski mają jak krowy i do ludzi się chcą dopytać...” Zmili-czałem, choć krew mnie zalewała.

— Z takimi tak trza... — Rece Kuracha zacisnęły się w pięść, a szczęki chrupły.

\*

W jarmark listopadowy kulak Niechciol z Brzuchani spotkał w Miechowie kulaka Sygula z Golczy. Zanim poszli na wódkę, pierwszy zapytał tradycyjnie:

— Jak rzeczy stoją?

— Nie stoją, leżą odpowiedział Sygula. — U nas już bidoki przemysłują spółdzielnie robić.

— Rozbroić się ich nie da? — Niechciol odsunął zawiadacko na tył głowy czapkę.

— Trudno.

Wiatr siarczyście dmuchnął od zachodu, właśnie od Wysocic. Deszcz zaczął kruszykami lodu. Kulacy miechowscy wtuliли głowy w ramiona i skryli się w ciasny zaulek.

Do nas to jeszcze nie doszło — z pewną satysfakcją zaznaczył Niechciol i przebiegł się.

— Dojdzie — autorytatywnie zapewnił Sygula. — To niby nie, zdaje się, że wszyscy we wsi przeciw, ktoś tam tylko raz baknął i inni go zakrzyzcili. A tu przez jeden wieczór wzbierze, jak potoczek w rzekę i hajże na nas potopem. — Po-to-pem. Wykrzywił sarkastycznie usta.

Władysław Machejek

## DYZMA GAŁAJ

## U ŹRÓDEŁ WICI\*)

KTO stanowił bazę społeczną Związku Młodzieży Wiejskiej? Jak kształtowała go panująca w kraju sanacja? Czy młodzież wiejskiej wystarcza ideologia proponowana przez Centralę, czy też mechanizm kapitalistycznego działania gospodarczego wydrze ją ideę solidaryzmu społecznego i rzucił w objęcia walk klasowych?

W 1921 roku gospodarstw rolnych do 2 ha było 1.108.758, od 2 do 5 ha — 1.001.851, od 5 do 10 ha — 733.256, a ponad 10 ha 387.986 gospodarstw. Prawie 65 proc. ogólnej ilości stanowiła gospodarstwa o mniejszej powierzchni niż 5 ha. Jest to, poza nielicznymi wyjątkami, kategoria gospodarstw, na których żyje półproletariat rolny. Gospodarstwa średniackie stanowią 22,5 proc., a gospodarstwa o obszarze ponad 10 ha, w olbrzymiej przewadze utrzymujące stałe siły najemne, stanowią niecałe 12 proc.

Tak wyglądała struktura rolna gospodarstw chłopskich w 1921 r. Stys wykazał, że w okresie wkraczania kapitalizmu dokonywało się bardzo gwałtownie rozdrabnianie tych gospodarstw, czyli można mieć uzasadnioną pewność, że w 1925 r. ilość gospodarstw drobnych i karłowatych powiększyła się — przeważnie kosztem własnym i kosztem średniaka. Stru ury tej z całą pewnością nie uratowała i te-żale realizowana reforma rolna, realizowana zresztą z myślą o interesach dziedzica i chłopu bogatego.

Popatrzmy na te sprawy przez liczby podane w „Sprawozdaniu ZMW” za rok 1925. Zobaczymy, kim jest młodzież tworząca w tym okresie Kola Młodzieży Wiejskiej, a jednocześnie spójrzmy na organizacyjną stronę tego Związku. Liczba kół w 1918 roku wynosiła 167, w 1919 — 470, w 1920 — 616, w 1921 — 960, w 1922 — 1.558, w 1923 — 807, w 1924 — 953, w 1925 — 1320. Jeżeli chodzi o ilość kół i członków na terenie poszczególnych województw, to w dniu 1.1.1926 r. była ona następująca:

| Nazwa województwa | Ilość kół   | Ilość członków | Przypada na 1 kóło członków |
|-------------------|-------------|----------------|-----------------------------|
| Lubelskie         | 436         | 13.300         | 30                          |
| Warszawskie       | 234         | 6.31           | 27                          |
| Kieleckie         | 189         | 5.10           | 27                          |
| Łódzkie           | 167         | 5.260          | 31                          |
| Białostockie      | 90          | 3.000          | 33                          |
| Wojtyńskie        | 84          | 1.860          | 22                          |
| Wileńskie         | 61          | 1.340          | 22                          |
| Nowogrodzkie      | 31          | 380            | 12                          |
| Poznańskie        | 17          | 270            | 23                          |
| Poleskie          | 9           | 10             | 16                          |
| Pomorskie         | 6           | 72             | 12                          |
| <b>Razem</b>      | <b>1310</b> | <b>37.050</b>  | <b>28</b>                   |

Za rok 1925 sprawozdanie złożyło 447 kół. Nie świadczy to oczywiście, że reszta, czyli 873 kół nie istniały. Kół te bowiem były zarejestrowane i pracę wewnętrzną prowadziły, a nie daly im przy-sawu w związku z brakiem wewnę-trznej potrzeby regulowania swo-jej działalności formalnymi spr-awozdaniami i ze względu na nie-chęć w stosunku do „papierków”, istniejących na wsi do dziś. Nie ulega jednak wątpliwości, że w tego rodzaju kółkach prace są prowadzo-ne, lecz w sposób jakby „naturalny” nieoczekiwany i niesystematyczny. Stąd też i wartość tych kół jest mniejsza niż 447, które sprawozda-nia złożyły.

\*) Fragment większej pracy.

Poniżej podaję dane dotyczące wsi tych 447 kół:

|                                       |            |
|---------------------------------------|------------|
| ludności łącznie z dziećmi            | — 250 tys. |
| ogólny obszar użytk. przez nich ziemi | — 230 „ ha |
| ogólna ilość gospodarstw              | — 30 „ ha  |
| przeciętna wielkość gospodarstwa      | — 7,7 ha   |
| gospodarstw do 2 ha.                  | — 5886     |
| „ od 2 — 5 ha.                        | — 10753    |
| „ od 5 — 10 ha.                       | — 8574     |
| „ powyżej 10 ha.                      | — 4131     |
| Kółek Rolniczych                      | — 200      |

|                           |       |
|---------------------------|-------|
| Stowarzyszeń mleczarskich | — 81  |
| Kas Stefczyka             | — 6   |
| Spółdzielni budowlanych   | — 2   |
| Stowarzyszeń sportowych   | — 89  |
| Straży ogniowych          | — 140 |
| Wychowanków szkół roln.   | — 557 |

447 kół skupiało razem 12 007 członków. Układ pod względem wieku przedstawiał się następująco:

|                  |                |
|------------------|----------------|
| Od 16 — 18 lat   | — 2881 czł.    |
| „ 21 — 25 „      | — 2551 „       |
| „ 18 — 21 „      | — 3805 „       |
| „ 25 — 30 „      | — 1324 „       |
| „ 30 — 35 „      | — 225 „        |
| „ powyżej 35 lat | — 131 „        |
| nie podał wieku  | — 1050 „       |
| <b>Razem</b>     | <b>12007 „</b> |

Regulamin nie ogranicza wieku. Układ ten jest układem naturalnym. Element młodościowy w owych 447 kółkach szczególnie pod względem organizacyjnym był bardzo młody. Świadczy o tym poniższa tabelka:

|                                                    |              |
|----------------------------------------------------|--------------|
| Osób, które są członkami nie dłużej niż 1 rok było | 6669         |
| 2 lata                                             | 2520         |
| 3 „                                                | 1100         |
| 4 „                                                | 511          |
| 5 „                                                | 369          |
| 6 „                                                | 167          |
| 7 „                                                | 158          |
| 8 „                                                | 253          |
| okres niewiadomy                                   | 260          |
| <b>Razem</b>                                       | <b>12007</b> |

Z powyższego widzimy, że Koło tworzą dwójakiego typu członkowie; pierwsi posiadają staż, praktykę, a co za tym idzie i autorytet wśród młodszych kolegów, i drudzy, którzy zdobywają sobie ostro-gię działalności organizacyjnych. Pier-szy typ jest stały i w organizacji zadomowiony, drugi zaś płynny i jakby „na dorobku” organizacyjnym.

Bardzo interesujących danych do-tyczących gospodarczego i zawodo-wego zróżnicowania całej młodzie-ży tych 447 kół, dostarcza spr-awozdanie ZMW za rok 1925. Podaję je dosłownie, gdyż charakteryzuje i członków kół, jak również sp-żających „sprawozdanie”. A teraz będzie dla nas ciekawe, ile i jak-iej młodzieży pod względem za-wodowym należy do kół. Otóż: 1) rolników 8497; 2) rzemieślników wiejskich, a więc; kowali, stolarzy, stelmachów itp. 1431; 3) wyrzucników rolnych — 513; 4) inteligencji za-wodowej — 587; pozostała ilość wy-nosząca 979 członków — nie podała swego zawodu. Dla uzupełnienia tego obrazu dodajemy jeszcze, że wśród grupy członków rolników, znajdowało się 609 członków, któ-rych rodzice posiadali do 2 ha zie-mi; 2295 — do 5 ha; 2950 — 10 ha 1993 — powyżej 10 ha; wreszcie 650 członków rolników samodziel-nie już gospodarujących, pomiędzy którymi było 108 posiadających do 2 ha ziemi; 203 — 5 ha; 186 — 10 ha i 153 posiadających powyżej 10 ha ziemi (\*\*). (tabela na prawo)

O czym świadczą przytoczone cyfry?

1) O dużym nasileniu kół w wo-jewództwach Centralnej Polski. Sie-dem ostatnich województw posia-da kół w sumie niewiele więcej od

województwa warszawskiego, a znacznie mniej od lubelskiego.

2) Sprawozdanie złożyła niewielka ilość kół, bo 34 proc. ogólnej ilości.

3) Układ pod względem wieku pokazuje dużą rozpiętość.

4) W kółkach istnieje ogromna przewaga elementu pierwszorocz-nego (55,5 proc.).

5) ZMW jest związkiem zrzesza-jącym młodzież, ze wszystkich za-wodów i ze wszystkich kategorii gospodarstw. Chętniej jednak nale-ży do ZMW młodzież średnio-rolna i kulacka niż mała-rolna i prolet-a-riacka.

Ostatni punkt ma tak podstawo-we znaczenie, że trzeba go omówić dokładnie. Na jakiej podstawie wy-prowadza się ten wniosek?

|                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                        |
|------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|
| W „Sprawozdaniu” nie tylko wi-dać strukturę klasową młodzieży należącej do kół wiejskich, ale również zupełną nieczułość na te sprawy kierownictwa ZMW. Ila tworczych arkusz spr-awozdań i opracowywujących później spr-awozdanie ważny jest tylko zawo-d: rolnik, rzemieślnik, wyrzucnik rolny inteligent. W zawodzie „rolnik” mie-ści się każdy chłop od 0 do 50 ha. |
|------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|

Sprawa klasowego rozwarstwienia wsi jest zupełnie nieistotna i dla-tego podana jest mimo-tem takto „uzupełnienie obrazu”. A to „uzup-ełnienie” po grunto nijszym roz-patrzeniu okazuje się właśnie obra-żem.

## Dyzma Gałaj

\*) W Stys — „Drogi postępu go-spodarczego wsi”.

\*\*) Sprawozdanie Z.M.W. rocznik VIII za r. 1925.

\*\*\*) Przeciętna wielkość tej kate-gorii gospodarstw wynosi 29,6 ha. Średnia ta wypadła z danych do-tyczących stanu posiadania w om-awianych 447 wsiach. Obszar gos-podarstw od 0 do 10 ha wynosi (po przeliczeniu średniej 1-gospod. — I ha, II — 3,5 ha, III — 7,5 ha) 107.826,5 ha. Natomiast obszar ogólny wszystkich gospodarstw ma 230.000 ha. Różnica między ty-mi obszarami wynosząca 122.173,5 ha, podzielona na 4.131 gospodarstw powyżej 10 ha, daje w wyniku li-czbę 29,6.

| Wielkość gosp. darstwa w ha | Ilość gosp. w Polsce w 1921 r. | % ogólnej ilości gosp. chł. w Polsce w 1921 r. | Ogólna ilość gosp. w 447 wsiach obje-tach spr-awozd. | % ogólnej ilości gospod. w 447 wsiach | Ilość gospodarstw rolniczych, cz. kół w 447 wsiach obje-tach spr-awozd. | % ogólnej ilości gospodarstw rolniczych, cz. kół w 447 wsiach |
|-----------------------------|--------------------------------|------------------------------------------------|------------------------------------------------------|---------------------------------------|-------------------------------------------------------------------------|---------------------------------------------------------------|
| poniżej 2 ha                | 1.108.758                      | 34,00                                          | 5.886                                                | 27,00                                 | 717                                                                     | 8,4                                                           |
| 2 — 5                       | 1.001.851                      | 31,00                                          | 10.753                                               | 36,7                                  | 2.498                                                                   | 29,4                                                          |
| 5 — 10                      | 733.256                        | 23,00                                          | 8.574                                                | 29,3                                  | 3.136                                                                   | 36,9                                                          |
| poniżej 10                  | 387.985                        | 12,00                                          | 4.131                                                | 14,00                                 | 2.146                                                                   | 25,3                                                          |
| <b>Razem</b>                | <b>3.231.851</b>               | <b>100%</b>                                    | <b>29.344</b>                                        | <b>100%</b>                           | <b>8.497</b>                                                            | <b>100%</b>                                                   |

Jeździec Miedziany, ty, coś zwykły nad światem

Piętrzyć się burzą zaklętą w kamieniu,

Skryty gdzieś w głębi ustronnej piwnicy,

Śluchałeś, jak wiązały się nad tobą,

W śmiertelnej zwadzie dwa straszne żywioły,

Jak raz! grom i świszczał deszcz ołowiu...

Aż powróciły znowu jasne dni...

I wynurzyłeś się w łagodny

Ucieleśnienie piękna, dumy, siły,

Pozieleniały, nieśmiertelny brzoje.

Też same linie, ostre,

Ten pęd, co dawniej i klasyczny spokój

Czarują czy...

A wokoło praca

Wre...

Cieśla saardamski bierze

Mistrzowski topór, by z ruin podźwignąć

Swe miasto...

Toż to młoda Leningradka

Krząta się, dźwiga kamień i budulec

Wygląda blizny murów, wprawia okna,

By Gród Lenina znów jaśniał nad światem

I promieniach szczęścia niewyraźnego

I dzieci leningadzkie, z których liczek

Nie zdążył jeszcze spełznąć odcień głodu

U stóp pomnika bawia się bez trosko

Jak młode wróble...

Śmiertelne miasto.

Leningrad 1945.

Przełożył

Tadeusz Chrościelewski

Maksym Ryłski

## Jeździec miedziany

Gdzie Mickiewicz i Puszkina w mrokach nocy

Pod jednym płaszczem, wzięwszy się za ręce

Stali na mokrej petersburskiej mgie

I wymieniali owe słowa, których

Nie zachowała dziś dla nas historia,

Gdzie Żukowskiego i Briułowa druh,

Artysta — batrak, szlachetny nasz taras

Siadywał nieraz wśród posępnych dumań

— I dziś On stoi, wieków światodzierzca.

Podrywa konie nad przepaścią pustą

I dłoń unosi władco nad toń Newy —

Miedziany Jeździec, wszechpotężny Piotr.

Dłuto Falconta, majaku Puszkina,

Nieprzedawniona chlubu Petersburga,

Co stał się dziś przesławnym Leningradem,

Gdy spadła na nas wojny zawierucha

Obracająca w perzynę, krusząca

Wszystko, co zrodził znoj i geniusz ludu —

Ciebie w dniach walki ludzie leningradcy



Z. P. BAZILIEWA

## HERCEN A POLSKA\*)



Herzen

Jeszcze na długo przed 1863 r. sprawa polska zajmowała w „Kołokole” wyjątkowe miejsce; pod wpływem zdarzeń, które zaszły w Polsce, zainteresowanie tą kwestią w piśmie Hercena wzrasta. Już w końcu 1860 r. i na początku 1861 r. zwiększa się liczba artykułów na tematy polskie i wzrasta ilość najbardziej aktualnych informacji z Polski, gdzie represje rządu carskiego przybrały w tym czasie nowy charakter.

Nie poprzestając na zniesieniu tych nieznacznych ulg, które nadane zostały Polsce przy wstąpieniu na tron cara, a także nie zadowalając się tłumieniem wszelkiego rodzaju objawów życia społecznego, administracja miejscowa, przechodzi często na system krwawego terrorku. Od kwietnia 1861 r. stosowanie siły zbrojnej w Polsce zostało ułatwione, gdyż Komitet Ministrów zatwierdził zarządzenie o metodach postępowania w wypadku ogłoszenia stanu wojennego w jakichkolwiek miejscowościach Guberni Zachodnich?

Demonstracje, które zostały zorganizowane w odpowiedzi przez naród polski, wywołały nowe represje. W rezultacie z miesiąca na miesiąc coraz bardziej zagnana się atmosfera polityczna na terytorium „Królestwa Polskiego”.

Sledząc uważnie sprawy polskie „Kołokoł” nie ogranicza się do ogłoszenia przychylnych informacji, nie poprzestaje na roli przyznanego, ale postronnego obserwatora.

Wręcz przeciwnie, silny wiarą w słusność i żywotność swoich zasad, staje się czynnym uczestnikiem rozwijających się zdarzeń.

Na wieść o pierwszych wystrzałach w Warszawie na wiosnę 1861 r., „Kołokoł” zwraca się do Polaków z przyjacielskim współczuciem: „Wszystkie te grubiańskie, przymusowe-zjednoczenia — pisze w swoim artykule Herzen — prowadzą nie do jednności, ale utrwalają nienawiść... Pochłonięciem Polski przez Rosję carską jest niedorzeczność, przemocą”. W innym artykule Herzen pisze, że rozstrzelanie w Warszawie zatrzymanych chłopów: „Nasze święto było smutne. Nie znam dnia, w którym by rozstrzelanie dusiło okrutniej i ciężiej, w którym by lampiony były tak bliskie leż... Radość nasza zbladła wobec wieści o warszawskich zabójstwach”.

Taka postawa poważnego pisma była natchniona uznana przez działaczy ruchu polskiego, jako jego czynne poparcie.

Przedrukując po polsku z „Kołokoła” artykuł Hercena „Mater dolorosa”, pismo polskie „Przegląd Rzeczy Polskich” (z dn. 22 maja 1861 r.) podkreśla, że artykuł ten dowodzi, iż zostały zlikwidowane wszelkie różnice między nim a „Kołokolem”. Herzen otrzymuje cały szereg listów dziękczynnych. Jeden z nich, od polskich emigrantów zamieszkałych we Francji, nazywa wprost artykuł Hercena w „Kołokole” czynami bohaterstwa: „Niech będzie błogosławiony Wasz czyn bohaterki, — czyn święty i patriotyczny, gdyż niewola, w którą została wtrącona Polska jest niewola, ciężająca nad samą Rosją. Myśmę że swojej strony w 1831 r. wypisali na naszych standardach: „Za naszą wolność i waszą”, — „Vivat Polonia!” — taki jest wasz okrzyk, wychodzący z głębi serca.

Dzięki, Sz. P. że za szlachetną cześć, którą okazał dla zasady solidarności narodów...”

Ale Herzen, popierając swoim udziałem i przychylnymi artykułami w „Kołokole” atmosferę rewolucyjną w Polsce, nie zamykał oczu na fakt, że hasło wspomniane przez emigrantów polskich w liście z Francji — „Za naszą wolność i waszą”, — było zrozumiałe nie dla wszystkich Polaków, że w gwałtownym patriotyzmie wielu z nich kryje się niebezpieczeństwo nacjonalizmu. Dlatego stawia on przed „Kołokolem” drugie zadanie — wyjaśnienie w dalszym ciągu idei dwóch Rosji: carskiej — konserwatywno-szowinistycznej i ludowej — postępowej, przyjaźniącej Polsce i wszystkim innym narodowościom imperium rosyjskiego.

W artykule „Kołokoł” stale podkreśla się, że: „Wszystkie nasze starania, wszystkie nasze wysiłki zmierzają do tego, aby niezawisłość narodu rosyjskiego oraz wolność narodu rosyjskiego operowały się na wspólnym, braterskim działaniu, skierowanym przeciw petersburskiemu despotyzmowi. To, co dla tego celu jest przede wszystkim konieczne, to ścisły sojusz, wzajemne zaufanie i szacunek między uczestnikami ruchu obu krajów”.

Herzen z radością przyjmuje ogłoszone przez Polaków zasady wśród Polaków (np. przyjaźniając się w stosunku do Rosji wystąpienie emigranta Beniowskiego, na mityngu w Londynie) i drukuje skierowane do organu polskiego, „Przegląd Rzeczy Polskich”,

podziękowanie wydawców „Kołokoła” dla wszystkich Polaków, którzy przyjaźnie zareagowali na artykuły pisma.

W tym samym celu zbliżenia przodujących bojowników obu narodów Herzen pilnie śledzi wszystkie objawy współczucia dla sprawy polskiej w Rosji (np. nabożeństwa żałobne w Petersburgu za ofiary warszawskie), jak również gromadzi w redakcji pisma, dokumenty wyrażające to współczucie.

Publikując w nr 103 „Kołokołu” z dn. 15 lipca 1861 r. list „Od kobiet rosyjskich — do kobiet polskich”, Herzen wskazuje: (Otrzymujemy list z listem od rosyjskich oficerów i literatów, od przyjaciół i nieprzyjaciół, w których wyrażają poparcie dla naszego poglądu na sprawę polską. Wreszcie ostatnio nadszedł wspaniały list od rosyjskich żon, matek i siostr. Wybierając nas one na pośredników między nimi a kobietami polskimi). „Powiedzcie im, — piszą — o naszych uczuciach i przekonaniach, powiedzcie im, że my tak jak i Wy pragniemy całkowitej i bezwarunkowej wolności i niezawisłości Polski. I niech nasz słaby głos zleje się ze smutnym dźwiękiem waszego „Dzwonu” („Kołokoł” — dzwon, przyp. tłum.) i poruszysz serca i sumienie i współczucie wszystkich matek i siostr dotrze także do Polski”.

Jeszcze bardziej znamienne są dokumenty, świadczące o rozpoczynającym się ruchu wśród wojska rosyjskiego, znajdującego się w Polsce. Materiały zamieszczone w „Kołokole” począwszy od połowy 1862 r. wykazują jeszcze jedną stronę sprawy. Jej sens zasadniczy był następujący.

Skomplikowane stosunki społeczno-polityczne tego okresu wysuwały przed Hercenem nowe trudności: będąc silnie związany z postępowymi sferami Rosji, widział jasno, że nie ma tam jeszcze sił przygotowanych do walki z rządem carskim. Jednocześnie uświadomił sobie beznadziejność odosobnionego wystąpienia Polski, bez poparcia rosyjskiej rewolucji.

Stąd wynika nowe zadanie „Kołokołu” — wstrzymać działaczy polskich przed przezwyciężnym wystąpieniem.

Redaktorzy „Kołokołu” wielokrotnie zwracali się do działaczy polskich z taką radą, począwszy jeszcze od 1861 r., kiedy Ogariów w artykule „Odpowiedź na odpowiedź” Wielkorusa” gorąco przekonywał Polaków, aby nie występowali w odosobnieniu od sił rewolucyjnych Rosji. W swoim liście do Cwerciakiewicza z dnia 28 października 1862 r. Herzen próbuje po raz ostatni namówić adresata, który był przedstawicielem najaktywniejszych grup ruchu polskiego, aby nie zaczynał powstania, ale wykorzystali 2 — 3 lata w celu lepszego jego przygotowania. Wziąwszy pod uwagę, że w tym czasie otrzymują silnego sojusznika w postaci rosyjskiej organizacji rewolucyjnej, która narazie jeszcze nie istnieje.

Równocześnie możliwość powstania zbliżała się, pod wpływem polityki rządu carskiego, który bez podstawy uciekał się do użycia siły zbrojnej i tym wzbudził społeczeństwo polskie. Dlatego redakcja „Kołokołu” uważa za swój szczególny obowiązek zwrócić się do wojska rosyjskiego w Polsce z odezwą, aby nie użyło broni w stosunku do Polaków.

Już na pierwsze wystrzały w Warszawie „Kołokoł” niezwłocznie odpowiada artykułami Hercena, w których daje on ocenę roli wojska rosyjskiego w Królestwie Polskim i określa jego zadania na tamtych terenach.

Artykuł „Vivat Polonia” jest cały przeniknięty uczuciem podziwu dla zdecydowanej postawy oficera rosyjskiego, który odmówił strzelania do bezbronných.

„Z bezgraniczną dumą widzimy, — pisze Herzen, — że nie omyliliśmy się w naszych nadziejach odnośnie młodych oficerów. Z dumą patrzymy na to, jak olbrzymie postępy uczynił poziom moralny (w Rosji — Z. B.) od 1831 r. i 1849 r.”

Przypominając Następnie żołnierzom rosyjskim w Polsce swoją odezwę do nich jeszcze z 1854 r. nawołującą, by nie podnosili broni, przeciw sprawiedliwym żądaniom Polski i by „posiadali własną wolę”. Herzen woła: „Ginący bracia — odkupciecie! ciężka jest wasza dola, ale idźcie do karnych kompanii, twierdz, kazamat, na śmierć — ale nie zabijajcie ani Polaka, który pragnie być sobą samym, ani chłopca który żąda wolności”.

Ta odezwa do wojska nie tylko została wydrukowana w „Kołokole”, ale również rozesłana pocztą, do jednostek wojskowych Królestwa Polskiego. Takie znaczenie nadawał Herzen rozpowszechnianiu wiadomości o śmiałym czynie oficera rosyjskiego. W artykule podkreśla się, że oficer ten, który odmówił wykonania zbrodnego rozkazu, ocalił honor Rosji!...

## O zadaniach krytyki literackiej

(Streszczenie referatu A. Fadijewa)

ukowym i walczyła w pierwszym szeregu z wszystkimi przejawami infiltracji wrogich ideologii. Artykuły publicystyczne niejednokrotnie inicjujący owocne dyskusje ideologiczne, jak m. in. doniosła dla życia kulturalnego Związku dyskusja o kosmopolityzmie.

Podsumowując osiągnięcia krytyki radzieckiej, wskazał jednocześnie Fadijew, że wiele jeszcze pozostaje do zrobienia:

„...w porównaniu z rozwojem literatury krytyka nasza jest słaba i nie tylko pozostaje w tyle poza ogólnym postępem kultury radzieckiej, lecz jest szczególnie słaba w obliczu zadań, jakie przed nią stoją. Należy wskazać przyczyny tego niedorozwoju. Pierwszą będzie niewątpliwie oderwanie się większości od odziedziczonego po literaturze burżuazyjnej podziału na literaturę naukową, zajmującą się wyłącznie historią literatury i krytyków, pracujących nad zagadnieniami literatury współczesnej, przy czym stosunek liczebny obu grup nie wypadła na korzyść tych ostatnich. Z 200 krytyków, członków Moskiewskiego Oddziału Związku Pisarzy Radzieckich nie więcej niż 50 zajmują się literaturą współczesną”.

Fadijew wskazuje także, że dzięki stosunkom tego typu właśnie na terenie literaturoznawstwa znalazły przytulenie liczne przeżytki ideologii burżuazyjnych i trudno je wypłenić, dzięki zakorzenieniu w tych kręgach kumoterstwu.

Istnieje konieczność zainteresowania się pracą Wydziałów Literackich wyższych zakładów naukowych. Wydają one „Materiały naukowe” — najzupełniej oderwane od zagadnień współczesności. Wiele prac przyczynkarskich lub jawnie błędnych zostało też ostro zaatakowanych przez krytykę radziecką. Dokładne obliczenia wskazują ponadto, że w ciągu ostatnich 5 lat wychowankowie wyższych uczelni radzieckich poświęcili 212 rozpraw przedrewolucyjnej literaturze rosyjskiej, 158 — historii literatury powszechnej, współczesnej zaś literaturze radzieckiej zaledwie 24. Mimo to brak jest nie tylko podręczników literatury współczesnej, ale i rosyjskiej. W zakresie historii literatury zach. europejskiej nie tylko używa się podręczników — przestarzałych, dezorientujących młodzież, ale brak jest w ogóle opracowań dotyczących twórczości szeregu nowszych postępowych pisarzy świata, zwłaszcza pisarzy krajów demokracji ludowych. Okromne zadania stoją więc przed radziecką krytyką literacką, do których zmobilizować musi wszystkie siły i nieubлагanie tępić wszelkie przejawy tradycjonalizmu, rutyny i oddziaływania wrogich ideologii.

„Powinniśmy doprowadzić do tego, aby historia literatury i współczesna krytyka literacka zajmowały się ci sami ludzie — partyni i bezpartyni bolszewicy, aby na literaturę przeszłości i teraźniejszości patrzyli z punktu widzenia Lenina i Stalina. Wówczas i kadry naszej będą się kształcić na słusznych zasadach i będziemy mogli zlikwidować poważniejsze usterki naszej krytyki”.

Za główny niedostatek radzieckiej krytyki uważa Fadijew brak artykułów uogólniających, nie nadążanie za rozwojem literatury (nie wszystkie zjawiska literackie są omawiane) — oraz uchylenie

się od artystycznej oceny twórczości literackiej. Potępia ogólnikowość i frazeologię recenzji, nie indywidualizujących zjawisk artystycznych, kwiitujących problematykę artystyczną literatury kilkoma sloganami. Jako przykład braku należytego skrytykowania założeń ideologicznych przytacza Fadijew książkę Treguba — „Żywy z żywymi”.

„W księżyc tej znajdują się pozytywne momenty. Cenny jest postulat opanowania techniki poetyckiej Majakowskiego, którą do tej pory rzadko kto przejmował całkowicie. Autor w świetle wielkich ideowych i poetyckich osiągnięć Majakowskiego chciał spojrzeć krytycznie na cały proces rozwoju naszej literatury. To słuszny punkt wyjścia. I tam, gdzie autor krytykuje apolityczność i indywidualizm poszczególnych naszych poetów, książka spełnia rolę pozytywną. Autor nie rozumie jednak, że nie można przeciwstawić Majakowskiemu ogromnej większości poetów radzieckich, że nie można wysuwać na pierwszy plan tylko tych pisarzy, którzy najbliżsi są poetyce Majakowskiego. Oczywiście, należy skończyć z próbami negowania twórczych wartości szkoły poetyckiej Majakowskiego. I tu Tregub ma słusność. Gotów jest jednak bronić poetów przed wszelkimi zarzutami nawet i natury ideowej, jeśli uważa ich za kontynuatorów Majakowskiego. Chodzi mi głównie o Asiejewa i Kirsanowa, a z młodych o Gornostajewa. Obrona ta jest niesłuszna z dwóch przyczyn. Po pierwsze, jeśli chodzi o poezję Asiejewa i Kirsanowa, to ich poetycka zależność od Majakowskiego została wyolbrzymiona. Są to poeci o oryginalnym obliczu literackim. A po drugie, autor zapomina o tym, że Asiejewa krytykowano niegdyś w naszej prasie przede wszystkim za potknięcia ideowe (np. w czasie wojny), a nie za poetyckie związki z twórczością Majakowskiego. Poemat Kirsanowa „Niebo nad oceanem” został skrytykowany nie za naśladowanie Majakowskiego, lecz za formalizm. Wydaje mi się, że punkt widzenia Treguba jest także przejawem kumoterstwa”.

W dalszych rozważaniach wysuwa Fadijew zwiększenie czujności wobec pracy literaturoznawstwa i rozbicie „krytyki krytyków”. Dalej — podniesienie formy literackiej krytyki radzieckiej. Do istotnych zadań, stojących przed krytyką radziecką należy rozróżnienie opieki nad młodymi kadrami, przywiązanie zdolnej młodzieży szkół wyższych, wprowadzenie krytyki w wielu pismach, pozbawionych dotychczas tego działu.

„Krytyka, aby mogła wejść na drogę rozwoju, winna pamiętać, że do jej obowiązków należy szeroka znajomość życia, nie mniejsza niż wymagana od artysty.

Współczesna literatura odkrywa w rzeczywistości nowe elementy. Bez znajomości życia nie można dać pełnej i słusznej oceny książki.

Nasi krytycy literatury naprawiają swoje błędy, jeśli głęboko opanują naukę Lenina i Stalina, jeśli będą związani z codziennym życiem i do ostateka przezwyciężą resztki kumoterstwa i przyjacielskich uprzedzeń. Tylko wówczas krytyka nasza pójdzie naprzód siedmioma łatwymi krokami. I można przewidywać, że wspaniale pod jej twórczym wpływem rozwinię się wielka literatura radziecka”.

Jednak artykuł Jermiłow nie

LEOPOLD LEWIN

A TENY

Zakwitły ogrody Aten  
Kwiatem różowym i białym.  
Ulica wystrzela kwiatem —  
Kiedy zakwitnie wystrzałem?

Wśród murów — barwne rabaty.  
Promień zachwycę się rosą.  
Między te mury i kwiaty,  
Krwia znacząc barwne rabaty,  
Za Nike rozwianowłosa  
Wtargną żołnierze zapłaty.

I zagrzmi grecka symfonia  
Na Bałkan i na świat cały.  
Kobiety będą płakały,  
Z radości będą płakały,  
Kiedy nad placem Omonia  
Zmilkną ostatnie wystrzały.

Redaktorzy „Kołokołu” nie zaprzestają agitacji wśród wojska również po wybuchu powstania.

Wraz z rozpoczęciem powstania ciężar gatunkowy sprawy polskiej w „Kołokole” jeszcze bardziej wzrasta. Począwszy od lutego 1863 r. całe numery pisma są prawie wyłącznie poświęcone omówieniu wypadków w Polsce. Artykuły Hercena dotyczące tych zdarzeń podobnie jak artykuły z 1861 r., napisane z okazji „Sprawy Bezdnieńskiej” i innych stłumionych ruchów chłopieckich, są przepełnione niezwykłym entuzjazmem.

Odezwy do wojska przesyczone są głębokim wzburzeniem. „Przyjaciele, bracia, żołnierze rosyjscy, pisze Herzen na wieść o poborze rekruta, — przyjmijcie nowych towarzyszy z otwartymi ramionami, pokażcie im, że naród rosyjski jest uczciwszy i lepszy niż rząd rosyjski... opowiedźcie mu o waszej gorzkiej doli, o kłopotach biedny przez dwadzieścia lat, o głodzie, o zbrodniach dowódców,

o tym jak was karali i jak za waszym pośrednictwem karali chłopów... A najważniejsze — pokochajcie ich, pozostali samo już się zrobi...”

Jeśli w latach 1861 — 1862 agitacja „Kołokołu” wśród wojska starała się zapobiec przelewowi krwi w Polsce, to obecnie górowało dążenie, by możliwie jaknajbardziej zmniejszyć go, nie wyrzekając się celów wysuniętych przez powstanie.

„Herzen wciąż świadomość żywi nadzieję, że wojsko znajdujące się w Polsce, przeciwdziałając rozkazom z Petersburga może jeszcze zmniejszyć hańbę, dokonaną przez nie rozprawę. Herzen dąży do tego celu. „Wielki bracie, — na pomoc! Powiedz słowo cywilizacji!” — zwraca się wtedy Herzen do Wiktora Hugo. Odpowiedź pisarza francuskiego z załączoną odezwą do żołnierzy, wykazującą jego wygnanie Francji napoleońskiej jasno zrozumiał stworzoną sytuację. Odezwa jego zamieszczona w najbliższym numerze „Kołokołu” kończy się wezwaniem: „Żołnierze rosyjscy zacierpijcie natchnienia u Polaków, nie walczcie z nimi. Przed wami w Polsce jest nie wróg, ale wódr”.

Jednakowoż świadomość niedostatecznego przygotowania wojska, i przedwczesności powstania nie opuszcza Hercena: „Chmura, na którą wskazywaaliśmy przez miesiąc, oberwała się...”

Jest wielkim nieszczęściem, że powstanie polskie wybuchło zbyt wcześnie, wielu a w tej liczbie również my, robiliśmy wszystko, co leżało w granicach naszych sił, aby je powstrzymać... Tak mówi Herzen w „Kołokole”, a w liście do Ogariewa pisze w tym czasie że wzburzeniem: „List od Miłowicza. Dotychczas, pisze on, ani jeden żołnierz rosyjski nie przeszedł, ani jeden oficer nie odmówił wykonania rozkazu, skierowanego przeciw Polakom. Ogarnia mnie rozpacz: to gorzej od rozstrzelania... Ignacy Chmieliński, zęgnając się, powiedział mi: „Potiebnia, tak Potiebnia — to wspaniały człowiek, ale kto jest prócz niego, kto?”...

Ale na początku 1863 r. była chwila gdy zwątpienie Hercena zamieniło się w nadzieję, że równocześnie z wybuchem powstania w Polsce zostanie zorganizowane powstanie w Rosji.

„Redaktorzy „Kołokołu” podzielali pogląd rosyjskich rewolucjonistów na powstanie chłopieckie, w związku z ostatecznym terminem podpisania Reskryptów narchowych.

Jednakże „na wiosnę” 1863 r. rzeczywistość nie potwierdziła przewidywań Hercena i w Rosji „Wyzwalani” chłopci po utracie sił w odosobnionych, niezorganizowanych powstaniach 1861 — 1862 r., nie mogli okazać jakiegokolwiek oporu wobec władz.

Podporządkowując się przeważającym siłom, przyjmują Reskrypty nadawcze.

Ale świadomość wielkiego znaczenia „sprawy rosyjskiej”, która stoi na porządku dziennym, zmusza kierowników pisma do walki z caratem w Rosji.

W ciężkiej chwili utraty tytułu nadziei i oczekiwań autor artykułu z wiarą w ostateczne zwycięstwo twierdził nawoływał do dalszej walki. „Młodzi przyjaciele! — pisze Ogariów — Wielka zgryzota i wielka nadzieja zmuszają mnie, abym z wami porozmawiał. Pożegnana mowa choć wezwania do wzmożonej pracy w celu stworzenia nowego życia. Pamięć Potiebnia nieczym lepszym nie mogę uczcić. Zginął, poświęcając się temu nowemu życiu... Potiebnia został zabity... za sprawę obcą, ze względu na odmiennie stawiane zagadnienia społecznych, ale słońca drogi, że było to sprawy wolności... Przyjaciele! Odprawcie po nim takie nabożeństwo żałobne, które jest go godne. Dajcie sobie wzajemnie słowo, że będziecie kontynuować jego dzieło. Sprawę ziemi i wolności narodu rosyjskiego trzeba będzie przygotowywać nie przez jeden jeszcze dzień.” Dalej — Ogariów rozwija obszerny program rewolucyjnej działalności młodzieży — raznozczywców wśród narodu. Powinna ona dążyć do jednego celu — do walki o „Zbór Ziemiaki”, który „musi zostać zdobytą” w przeciwnieństwie do „konstytucji, która może być nadana”.

Poglądy te, tak żarliwie wypowiedziane tu przez Ogariewa, całkowicie podzielał Herzen; legły one u podstaw całej dalszej działalności redaktorów „Kołokołu”. Herzen i Ogariów postavili przed rosyjskimi rewolucjonistami — demokratami zadanie kontynuowania walki o wyzwolenie Rosji spod carskiego ucisku, nie zważając na wszelkie trudności, oraz zadanie skubienia do tej walki młodych sił, dowodząc przy tym, że nie należy się spodziewać szybkiego sukcesu, właśnie z powodu złożoności warunków społeczno-historycznych w Rosji.

tłum. J. L.

\*) Z książki „Kokokoł” Hercena — OGIZ 1949.



Dzisiaj dnia nie wiem wobec tego, czy wpadłem w pułapkę jako Jack Drake, czy jako Jack London. Tak czy inaczej, figuruję niewątpliwie w rejestrach policyjnych miasta Niagara Falls. Kto ciekaw, może sprawdzić u źródła. Było to w końcu czerwca 1894 roku. (Wielki strajk kolejowy wypadł akurat w kilka dni po moim aresztowaniu).

Z kancelarii zaprowadzono nas do „hobo” i zamknięto troskliwie. „Hobo” zowie się część więzienia, gdzie w wielkiej, żelaznej klatce trzyma się przestępców. Towarzystwo składa się przeważnie z łazików, czyli hobo — stąd nazwa klatki. Zastaliśmy już tam kilku wódczów, świeżo „zaczepionych”, poza tym co chwila otwierały się drzwi i do klatki wtrącano po dwóch, trzech nowych gości. Narazicie dokompletowaliśmy nas do szesnastu, zaprowadzono po schodach na górę do izby sądowej. Sześć i najdokładniej opisać wszystko, co zdarzyło się w tej izbie. Trzeba wam wiedzieć bowiem, iż memu amerykańskiemu patriotyzmowi i godności obywatela amerykańskiego zadano tam głęboką ranę, która po dziś dzień się nie zablizniała.

Na sali sądowej znajdowało się szesnastu oskarżonych, sędzia i dwóch woźnych. Sekretarza nie było, widział sam sędzią protokółował. Świadczyło nie było. Nie było też obywateli miasta Niagara, którzyby doglądali, w jaki sposób wymierzano sprawiedliwość w ich gminie. Przed sędzią leżała wokanda posiedzenia sądowego, z której wyczytywał kolejno nazwiska oskarżonych. Któryś z łazików wstawał. Sędzia patrzył na woźnego. Wódczostwo, wasza część — oświadczał woźny. Jego część odpowiadał: „Trzydzięści dni”. Łazik siadał. Sędzia wywoływał dalej według wokandy i następny z oskarżonych wstawał.

Sprawa pierwszego przestępcy trwała równie piętnaście sekund. Sprawa drugiego odbyła się z niemniej byskawiczną szybkością. Woźny oświadczył: „Wódczostwo, wasza część”. — A jego część odpowiadał: „Trzydzięści dni”. I tak szło dalej, jak w zegarku, po piętnaście sekund i trzydzięści dni na sztuce.

Biedne, głupie żółtodzioby, myślałem z politowaniem. Czekajcie, niech przyjdzie moja kolej! Zadam ja bobu jego cici. Raptiem przy tej celebracji strzeliło jego cici do głowy, żeby udzielił głosu jednemu z podsadnych. Nieszczęście chciało, że wybił nie padł na fachuowego trampa. Uszy wybranego nie nosili żadnych odznak „zawodowca”. Gdyby się zbliżył do nas w chwili oczekiwania na towarówkę przy wodociągu stacyjnym, bez wahania zaliczylibyśmy go do „wesolych kotów”. „Wesoly kot” jest na Szlaku synonimem żółtodzioba.

Żółtodziób dość posunięty był w leciech. Coś około czterdziestu pięciu, plecy zgarnione w kabłąk, twarz schłastana przez niepokój.

— W ciągu lat wielu — zeznał — był woźnicą w jakimś przedsiębiorstwie (o ile się nie mylę w Lockport, New York). Firma szła kiepsko i ostatecznie w ciekim roku 1893 — zbankrutowała. Nie oddalano go możliwie najdłużej, chociaż pod koniec zajęcia stało się bardzo nielegalne. Wreszcie pozostał bez pracy. Sumienny hobo mówił jeszcze długo, przedstawiając niemożność znalezienia roboty przez kilka następnych miesięcy. Wtedy właśnie przechodziły Stany najcięższy kryzys pracy. W końcu zdecydowaliśmy, że przedem może znaleźć coś nad Jeziorami — wyruszył do Buffalo. Naturalnie, oczekiwania zawiozły — i oto znalazł się w więzieniu. Nic więcej nie ma do powiedzenia.

— Trzydzięści dni — powiedział jego część i wywołał następnego podcącego.

Wywołany porwał się na ławie oskarżonych. — Wódczostwo, wasza część — zabrzmił głos woźnego. Jego część odpowiadał: — Trzydzięści dni. I tak szło dalej po piętnaście sekund na łazika i po dni trzydzięści. Maszyna sprawiedliwości była naoliwiona i funkcjonowała bez zgrzytów. Najprawdopodobniej sędzia o tak wcześnie porze był na czczo i śpieszył się na śniadanie.

Krew Amerykanów wzburyła się w moich żyłach. Za mną stały liczne pokolenia wolnych obywateli. Jedną ze swobód, którą walczyli i za którą umierali moi przodkowie, było właśnie prawo obrony przed sądem. To dziedzictwo, usławsze ich krwią, wolało teraz we krwi mojej obronę. All right! — pocieszałem się w duchu — niechno nadejdzie kolej na mnie.

Nadeszła. Imię moje — jakkolwiek brzmiało — zostało wywołane i zerwałem się na nogi. Woźny rzekł: — Wódczostwo, wasza część. Ja zacząłem mówić, ale sędzia otworzył usta jednocześnie i padło z nich: — Trzydzięści dni. — Próbowałem protestować, ale w tym samym momencie sędzia wywołał następnego imię z listy winowajców. Raczyl przecież spauzować wystarczająco długo, aby mruknąć: „Cicho tam!”. Woźny posadził mnie przemocą na miejscu. W następnej sekundzie następnego hobo otrzymał dni trzydzięści, a kolejny sąsiad z listy gotował się właśnie do otrzymania swojej porcji.

Obdzieraliśmy wszystkich sprawiedliwie po trzydzięści dni na głowę, sędzia, zabierając się już do odejścia, zwrócił się nagle do woźnicy z Lockport, tego jednego właśnie, któremu mówić pozwolił i zapytał: — Dlaczego porzuciliście swoje zajęcie?

Przed chwilą właśnie poczytywożnica objaśnił jak to zajęcie porzucił jego — toteż pytanie zaskoczyło go i oszomotało.

— Wasza część — wybełkotał zmieszany — czyż to nie dziwne pytanie?

Drugie trzydzięści dni za porzucenie pracy — zawyrokował sędzia — i pośledzenie zamknięto. Oto macie rezultat. Woźnica otrzymał w sumie sześćdziesiąt dni, gdyż natomiast my wszyscy po trzydzięści.

Odprowadzono nas na dół, zamknięto na klucz i poczęstowano śniada-

JACK LONDON

niem. Było to doskonale śniadanie, jeśli tylko w więzieniu dobre być może — i było najlepsze ze wszystkich, co jedliśmy przez cały miesiąc następny.

Co do mnie — wrzałem z oburzenia. Oto byłem skazany, po jakiejś komedii sądu, gdzie nie tylko nie udzielono mi prawa obrony, ale nawet nie raczone wybadać. Habeas corpus — oto druga zdobycz obywatela, o którą walczyli moi przodkowie — myślałem. Czekajcie! Ja wam pokażę! Ale kiedy upomniałem się o adwokata — roześmiano mi się w oczy. Habeas corpus? Bardzo pięknie. Ale cóż mi z tego, jeśli nie mogę skomunikować się z nikim poprzez mury więzienia! No, jeszcze pokażę, co umiem! Nie będa mnie przeciwie trzymali do śmierci. Czekajcie. Niech się tylko znajdą na wolności! Niezgodę więcej nie chcę. Będziecie wy fałszywi, jak ja zagram! Wiem przecież, co się obywatelowi należy. Rozgłoszę ja po świecie waszą sprawiedliwość! Widać strażniczej zemsty: wielkich liter, sensacyjnych tytułów najpoczytniejszych pism Ameryki — tańczyła mi przed oczyma, kiedy strażnicy więzienni wyprowadzali nas z celi.

Policjant włożył mi menotki na prawą rękę (Aha! nowa zniewaga. Dobrze. Czekajcie tylko, aż się wy dostanie!) i skul ją z lewą ręką jakiegoś Murzyna. Murzyn był ogromny (ponad sześć stóp), tak ogromny, że trzymając swoją rękę wzdłuż ciała — moja podnosił do góry. Był to najszczęśliwszy i najbardziej zadowolony z życia Murzyn, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Wszystkich nas skuto parami, po czym łańcuch łańcuch staliśmy przewleczono przez ogniwa kajdanków i umocowano na początku i końcu podwójnego szeregów. Byliśmy więc odtańczeni ogniwami ruchomego łańcucha ludzkiego. Dano rozkaz odmarzu i ruszyliśmy przez ulice pod konwojem dwóch strażników. Wielki Murzyn i ja zajmowaliśmy honorowe miejsce: mieliśmy zaszczyt przodować procesji. Po zimnej, zgnieźni ciemności więzienia — ciepła słoneczność ulicy była zaiste oszałamiająca. Nie przypuszczałem nigdy, że może być tak słodka, jak w owej chwili, kiedy — więzien w brzęczących kajdankach — zęgnalem ją na trzydzięści dni.

Wzdłuż ulic Niagary maszerowaliśmy do stacji kolejowej, podziwiani przez gawiedź, a szczególnie przez grupę turystów zgromadzonych na werandzie eleganckiego hotelu.

Łańcuch ludzi włożył się noga za nogą, aż nareszcie z brzękiem i szcękaniem usadowił się na drewnianych ławkach wagonu „dla pałacych”.

Płoniąc oburzeniem za zniewagi, zadane mnie i moim przodkom — nie straciłem jednak głowy o tyle, żeby zapomniać o praktycznej stronie sprawy. Wszystko, co mnie spotkało, było zupełnie nowe i nieznane. Miałem przed sobą trzydzięści dni tajemnicy, należało więc obejrzeć się za kims, kto zna tu kulisy. Wiedziałem już, że nie jedziemy do jakiegos zwykłego więzienia o stu lub dwustu „mieszkańcach”, lecz do ogromnej katorgi o wielotysięcznym zaludnieniu, rezydującym tam od dziesięciu dni — do lat dziesięciu.

Na pierwszą ławcę, poza mną, przytknął za rękę do łańcucha, rozsiadł się jakiś krep, ciężki, muskularny chłop. Mógł mieć pod czterdziestkę. Upatrzyłem go sobie na przewodnika. W kąciach oczu błysnęły mu czasami iskierki dobrodusznego humoru. Poza tym było to stworzenie dziekie, kompletnie amoralne, podległe wszystkim namiętnościom rozjuszonego zwierzęcia. Jedynym przejawem człowieczeństwa były owe iskielki pocziwego śmiechu, pojawiające się w zrenicach i one to właśnie umożliwiały mi dostęp do dziekiej bestii na uwięzi. Stał się moją „pożywką”, czymś w rodzaju opiekuna i przewodnika. Przez cały czas podróży do Buffalo „współkajdaniarz” mój, zanosząc się do śmiechu, bełkotał o jakiejś bieliźnie, którą stracił niewątpliwie z powodu aresztu — ja zaś prowadziłem uświadamiający dyskurs z nowym znajomym. Miał pustą fajkę. Napeliłem ją własnym beczennym tytoniem (jedna porcja starczyłaby na tuzin papierosów!). W miarę rozmowy przekonywałem się coraz bardziej, że trafiliem na „pożywkę” właściwą, wobec czego odrzucałem zapuszczenie korzenie, ofiarowując mu połowę swego tytoniu.

Zauważyłem już od dawna, że cechą mojej osobowości jest szczególne gietkość, płynność i wrażliwość, dzięki której mogę przy dostatecznej sile żywotnej przystosowywać się do najrozmaitszych sfer i typów ludzi tak gładko i zupełnie, jakbym przeżył z nimi całe życie. Tym razem siłą woli przystosowałem się do dzikusa, chociaż nie miałem pojęcia, co będa miał z tego. Nowy mój „opiekun” nie znalazł jeszcze katorgi, do której nas wiezono, odsładywał już jednak po dwie — trzy — a nawet pięć — „plamek”. („plamek” oznacza ręk), toteż pełen był wszelakiej mądrości. Zaprzyjaźnił się więc do granic koniecznych i nabrałem otuchy, gdy oświadczył, iż udzielić mi będzie w chwilach odpowiednich wszelkiej rad i wskazówek. Nazywał mnie Jack i ja go nazywałem Jack.

Pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji — dobre pięć mil od Buffalo i my — żywy łańcuch — wypakowaliśmy się z wagonu. Nie pamiętam dokładnie nazwy w rodzaju Rocklyn, Rockwood, Black Rock albo Rockcastle. Z miejsca tego, jakkolwiek się zowie — prowadzono nas kilkadziesiąt kroków piechotą, po czym wszedźmo do zamkniętego tramwaju. Był to jakiś starszowiecki wagon z dwoma długimi ławami po bokach. Pasażerów przetranslokowano na jedną ławę, nam zaś wskazano drugą. Ulokowaliśmy się po odpowiedniej dozie brząkania i zgrzytania żelazstwem, zasiedliśmy twarzą w twarz z wolnymi ludźmi. Pamiętam jak dziś pełną leką i obrzydzenia twarz kobiet; brano nas oczywiście za morderców i wamywaczy. Stałem się zachować możliwie godną minę, ale mój „wspólnik” — ów Murzyn, zbyt szczeliliwy — nie przestawał ani na chwilę łypać oczami, trząść się ze śmiechu i zawodzić, „O prawo, prawo kochanie!”.

Wysiedliśmy z tramwaju, przeszliśmy jeszcze z pół kilometra, po czym wprowadzeni zostaliśmy do kancelarii wielkiej katorgi hrabstwa Erie. Tam wciągnięto nas do ksiąg więziennych, w których to księgach figuruje dotychczas pod jednym z dwu nazwisk. Poinformowano nas również, iż w kancelarii pozostawili należy wszystkie posiadane drobiazgi: pieniądze, tytoń, zapalki, scyzoryki itd.

Mój opiekun sygnalizował: „nie!”. — Wszystko, co weźmiacie ze sobą, zostanie odebrane przy rewizji — ostrzegł urzędnik.

Mój cicerone raz jeszcze dał znak przeczay. Wykonywał pośpiesznie jakieś ruchy, kryjąc ręce starannie za plecami towarzyszy. (Menotki zdjęto nam w przedślonku). Przyjrzałem się temu, co robił i natychmiast zawiązałem swoje drobiazgi w róg chustki do nosa. Zwiłki te wsunęliśmy obaj za koszule. Więzińowie z wyjątkiem dwu czy trzech, którzy posiadali zegarki, nie mieli w ogóle zamiaru oddawać swoich rzeczy w kancelarii. Postanowili widocznie spróbować szczęścia w szmuglu, ale nie byli tak mądrzy, jak mój cicerone i nie związali rzeczy w małą, twardą paczkę.

Nasi dotychczasowi strażnicy zabrali łańcuchy i menotki i odjechali do Niagary, my zaś wprowadzeni zostaliśmy w głąb więzienia. W kancelarii grono nasze powiększyło się o kilka nowych grup, tak że w sumie tworzyliśmy pokazną procesję z czterdziestu czy pięćdziesięciu ludzi.

Niechże wiadomo wam będzie, wolni obywatele Ameryki, iż poruszenia człowieka w więzieniu są równie ograniczone, jak handel w wiekach średnich. Dostawczy się raz do miejsca pokuty, więzień pozbawiony staje swobody ruchów. Co parę kroków spotyka żelazne przegrody, kraty, parkany o wielkich, zawsze zamkniętych drzwiach. Z kancelarii poprowadzono nas do fryzjerni, ale po drodze zatrzymywano kilkakrotnie przed rozmaitymi drzwiami. Pierwszy postój odbył się w ogromnym tak zw. „hallu”. „Hall” nie jest bynajmniej sienią lub korytarzem, jest czynną zupełnie specjalnym. Wyobraźcie sobie sześcią podłóżną, zbudowaną z cegieł i wznowczą się na wysokość sześciu pięt; na każdym piętrze wyobraźcie sobie rząd cel, tak z pięćdziesiąt; wszystko to razem przypomina kolosalny klub, ułożony z piastrow miodu; sześcią ustawiony jest na podłożu otoczony ścianami i pokryty dachem, wspartym na nich. Jest to niby dom pod kłosem. Przestrzeń między owym sześcią i kłosem w katorze hrabstwa Erie zowie się właśnie „hall”. Dla całości wyobraźcie sobie jeszcze wąskie galerięki o żelaznych poręczach, biegnące przez całą długość każdego rzędu cel i zbiegające po obu końcach sześcią na ku stromym żelaznym schodkom, równie wygodnym jak drabiny straż ognio- wy. Zatrzymano nas w „hallu” i kazano czekać, aż dorocza przyjdzie otworzyć drzwi. Tu i ówdzie przesuwali się katorżnicy, ostrzyżeni, ogoleni, w więziennych łachmanach. Zauważyłem, że jeden wychylał się z galeriiki trzeciego piętra. Rece oparte miał o poręcz, oczy utkwiłone w przestrzeń i zdawał się najzupełniej nie interesować naszym przybyciem. Mój cicerone wydał nagle przeciągły, stumionny gwizd. Wzięcie spojrzal w dół. Porozumieli się gestami, po czym frunęła w górę biała chustka, związana w węzeł. „Lament ziałal, błyskawicznie wsunął za koszulę i znowu stał nieruchomo, wpatrzony w przestrzeń. Opiekun poraził mi pójść za tym przykładem. Upatrzyłem chwilę, kiedy dorocza się odwrócił i posłałem swój „ładunek” w ślad za pierwszym.

W dwie minuty później otworzono drzwi i weszliśmy do łaźni i fryzjerni. Krzatalo się tu kilkunastu mężczyzn w więziennych ubraniach: byli to miejscowi fryzjerzy. Nie brakło też kranów z gorącą wodą, mydła i ostrych szcetek. Otrzymałmśmy rozkaz rozebrania się i wyszorowania samych siebie oraz grzbietu bliźniego swego. Zabiegie te były najzupełniej zbędne, więzień bowiem kłębilo się od robactwa. Po kapeli każdy z nas otrzymał pięcienny worek.

— Ubranie do worków! — zakomenderował strażnik. — Ani mi się ważyć próbować szmuglu! Stanać nago w rzad! Będzie inspekcja. Chłopcy na trzydzięści dni lub mniej — zachowują buty i szelki.

Oświadczenie to wywołało zrozumiałą konsternację. Jak może nagi człowiek cokolwiek przeszmuglować, zwłaszcza po inspekcji! Tylko my dwaj byliśmy zabezpieczeni. Obecnie otwierali się teren dla działalności obywateli fryzjerów. Krzatalo się pośród biednych nowicjuszy, proponując uprzejmie zaopiekowanie się ich cennymi drobiazgami i obiecując zwrócić wszystko jeszcze dziesięć wieczorem. Zdawałoby się — dobroczyńcy. Zapelniał jak Fra Lippo Lippi! — Nigdy w życiu nie widziałem podobnie szybkiego wydłowywania. Zapalki, tytoń, białka do papierosów, fajki, scyzoryki, pieniądze — wszystko wedrowało pośpiesznie do

otwartych kieszeni fryzjerów. Kieszienie po tej transakcji zwiększyły znakomicie swą objętość, strażnicy jednak udawali, że nie widzą. Krótko mówiąc nie zostało zwrócone. Fryzjerzy nie mieli w ogóle intencji oddania czegośkolwiek; zdobycz uważali za swoją własność legalną i nie zaprzeczoną. Był to ich sposób zarobkowania, uznany od dawna. W więzieniach kłiwło w ogóle niezliczone mnóstwo takich „dochodów specjalnych”; z biegiem czasu musieliem się z nimi zapoznać, a nawet — dzięki memu cicerone — potrafiłem się urządzać i korzystać z nich.

We fryzjerni stało kilka foteli, a pracownicy zwiłali się szybko. Nigdy w życiu przedtem, ani potem nie widziałem równie błyskawicznego gołenienia i strzyżenia. Klienci mydlili się sami, fryzjerzy zaś pociągali brzytwą po każdej głowie, licząc minutę na głowę. Strzyżenie trwało dwukrotnie dłużej. Po upływie trzech minut mój zarost osiemnastoletniego młodzieńca przestał istnieć, a głowa przypominała lśniącą kulę bilardową, z której właśnie wytrysnął chłopa świeża ruń szczeciny. Wszystkie brody i wasy poszły precz, razem z odzieżą. Daję wam słowo — nasze powracające procesja nie wyglądała elegancko; nie przypuszczałem nawet, że ludzie mogą być do tego stopnia brzydko.

Ustawiliśmy się w rząd — czterdziestu nagich — jak bohaterzy Kiplinga

szurmujący Longtunppen. Teraz łatwiej nas było zrewidować, istniały bowiem tylko buty — i jaż sama w sobie. Dwóm czy trzem niedowiarkom, którzy bali się powierzyć fryzjerom dobrą swę w postaci tytoniu, fajki, zapalek i drobnych, skonfiskowano to wszystko w jednej chwili. Potem obłożono nas w nowe szaty: nedoręczne koszule więzienne i ostatecznie pasiaste kurtki i spodnie. Myślałem zawsze, że w pasiaste ubrania pakują tylko zbrodniarza, więzionego co najmniej za morderstwo. Ale cóż miałem poczyć? Przestałem myśleć, włożyłem insygnia harby i poddałem się pierwszej próbie maszerowania po więzieniu.

Zblić ciasno, gęsiego, trzymając ręce na ramionach poprzędków, weszliśmy do innego obszernego hallu. Tutaj ustawiono nas pod ścianą i kazano obnażyć lewe ramie. Młody student medycyny, więzień, jak i my, począł z wolna obchodzić nasz szereg. Sześciu ospe akurat cztery razy przed, niż goili fryzjerzy. Narazicie, zaopatrzonych w finalny moral, iż nie należy dotykać ranki i zdrapywać strupka — rozmieszczono nas po celach. Przed roztaniem mój cicerone zdążył jeszcze rzucić mi szeptem: „Wyssad natychmiast!”.

Jak tylko zamknięto mnie w cell, zabrałem się do wyssania zatrutej krwi. Byli tacy, którzy nie wyssali. Mieli potem na lewym ramieniu ra-

ny, w których zmieszczały się pięść. Sami sobie winni. Mogli wyssać. W celi zamknięto nas dwóch, skazując na wspólne mieszkanie. Towarzystwem moim został młody, męski chłopak, nierozmowny, lecz bardzo inteligentny, wspaniały okaz, jakiś spotyka się czasem na jakiejś trudnej, całodziennych wyprawie. Zalety jego były tym dziwniejsze, iż właśnie skończył był dwuletnią karę w jednym z więzień stanu Ohio.

Zaledwie pół godziny przebyliśmy w celi, gdy ktoś waleśający się po galerii zajął w naszej celi. Był to mój cicerone. Udzielono mu „cwobody hallu” — oznajmił — od zróstej rano do dziesiątej wieczór. Był tu starym znajomym i natychmiast zwał się z hall-manem, czyli dozorcą hallu. Ten, który obdarzył go zaufaniem i raczył wyróżnić, należał sam do braci więziennych i swego czasu również został wywieszony. Nosił tytuł Pierwszego Dozorcę. Dozorów było w tym hallu trzynastu. Starszy był stanowili: Pierwszy, Drugi i Trzeci Dozorca, z dziesięciu zaś młodszych zarządzał każdy jednym rzędem cel.

My, nowoprzybyli, mieliśmy do wieczora pozostać w celach, aby szczeniłka się przyjęła. Od jutra stanem do ciężkich robót w podwórku więziennym.

Przetłóczył J. B. Rychłowski

\*) Fragment książki „Na szlaku”.

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

## MOJE ODK

Pięć centów, jedź sobie dokąd chcesz byle w jednym kierunku.

Wiązania i dachy kryjące powierzchnie drogi często ciągną się nieprzerwanie wzdłuż całej ulicy. Nie widać ani nieba ani bocznych domów — tylko turkot pojazdu po głowie i łoskot samochodów ciężarowych przed nosem — łoskot, w którym rzeczywiście trudno usłyszeć jedno słowo i aby nie odzwyczązić się od poruszania ustami nie pozostaje nic innego, jak w milczeniu żuć amerykańską gumę.

Rankiem w dzień burzliwy najlepiej jest w New Yorku. Nie widać wówczas ani jednego gapy ani jednego gamonia. Są tylko robotnicy wielkiej armii pracy dziesięciomilionowego miasta.

Masa robotnicza rozpęta się po fabrykach męskiej i damskiej odzieży, po nowych kopanych do pierze tunelach kolei podziemnej, do niezliczonych robót portowych — aż około ósmej godziny ulice zapelniają się niezliczoną ilością czystszych i bardziej wypielęgnowanych, porządnie ostrzyżonych — z gólymi kolanami i podwinie tymi pończochami wysuszonych dziewcząt, robotnic, jadących do biur, urzędów i sklepów. Rozcho- dzą się one po wszystkich piatrach drapaczy chmur po wszystkich korytarzach, do których prowadzą od frontu dziesiątki wind.

Dziesiątki wind miejscowej komunikacji zatrzymujących się na każdym piętrze i dziesiątki wind-kurierów nie zatrzymujących się aż do siedemnastego, do dwudziestego, do trzydziestego piętra. Specjalne zegary wskazują pietro, przez które przechodzi winda; specjalne lampy oznaczają czerwonym lub białym światłem kierunek w górę i w dół.

Jeśli masz dwa interesy, jeden na siódmym, a drugi na dwudziestym czwartym piętrze, wsiadaj w windę miejscową do siódmego piętra a dalej aby nie tracić całych sześciu minut przesiadaj się do ekspresu.

Do godziny pierwszej szcękają maszyny, potniaje ludzkie bez marynarek, rosną w papierach kolumny cyfr. Jeśli ci potrzebne biuro, nie musisz sobie łamać głowy, jak je urządzić.

Dzwonisz na jakieś trzydzieste piętro:

— Halo, proszę przygotować do jutra biuro o sześciu pokojach. Posadź dwadzieścia maszynistek. Szyl — „Wielki i znakomity handel zęszonym powietrzem dla podwodnych łodzi Oceanu Spokojnego”. Dwóch boyów w brązowej liberii — w czapkach ze wstążkami w gwiazdy i dwadzieścia tysięcy blankietów z powyższym nadrukiem.

— Good bye.

Jutro możesz się udać do swego biura a twoi chłopcy zamówieni przez telefon przywitają cię uroczystie:

— How do you do, mister Majakowski.

O pierwszej — przerwa: na godzinę dla urzędników i na piętnaście minut dla robotników.

Śniadanie.

Każdy je w zależności od swej tygodniowej pensji. Piętnastu dolarowi — kupują suche śniadanie w paczce za niklowe monety i gryzą je z całą młodzieńczą gorliwością.

Trzydziestupięciudolarowi idą do ogromnej, mechanicznej restauracji. Wrzucający pięć centów naciskają guzik i do filiżanki pluska równo odmierzona kawa, a jeszcze ze dwie

niklowe monety otwierają na ogromnych zastawionych jedzeniem półkach jedne ze szklanych dzwiczek do sandwica. Sześćdziesięciudolarowi — jedzą szare bliny z miodem i jajecznice w niezliczonych blachach jak wanna kawiarni Rockefellera.

Stu i więcej dolarowi idą do restauracji różnych narodowości — chińskich, rosyjskich, assyryjskich, francuskich, hinduskich — do wszystkich oprócz amerykańskich niesmacznych, powodujących katarę konserwowym mięsem Armora leżącym niemalże od czasów wojny o niepodległość.

Stu — dolarowi jedzą, powoli, ci mogą się spóźnić do pracy, a po ich wyjściu pod stołem wala się flaszczeni po 87 procentowym whisky (dla towarzysza); inna szklana albo srebrna flaszczeni, piaska, dla wygody spoczywa w tylnej kieszeni jako narzędzie miłości i przyjaźni, podobnie jak meksykański rewolwer.

Jak jada robotnik?

Robotnik źle jada. Nie widziałem wielu, ale ci, których widziałem, nawet dobrze zarabiający w czasie przerwy piętnastominutowej zżęza zaledwie przełknąć przy maszynie albo pod ścianą fabryki na ulicy suche śniadanie.

Kodeks prawa o pracy z koniecznym pomieszczeniem na jadanie, jeszcze się w Stanach Zjednoczonych nie rozpoznał.

Na próżno szukalibyście w New Yorku ostawionej przez literaturę i wielokroć karykaturyzowanej organizacji, racjonalizacji, tempa, zimnej krwi.

Zobaczycie masę ludzi snujących się po ulicy bez celu. Każdy zatrzymuje się i będzie rozmawiać z wami na jakikolwiek temat. Jeśli poniesiesz ochotę do nieba i potoisz tak chwilę, otoczy ci tłum z którym policjant nie może sobie dać rady.

Znow pracą do piątej, szóstej wieczorem.

Od piątej do siódmej jest najbardziej burzliwa i najruchliwsza na mieście pora.

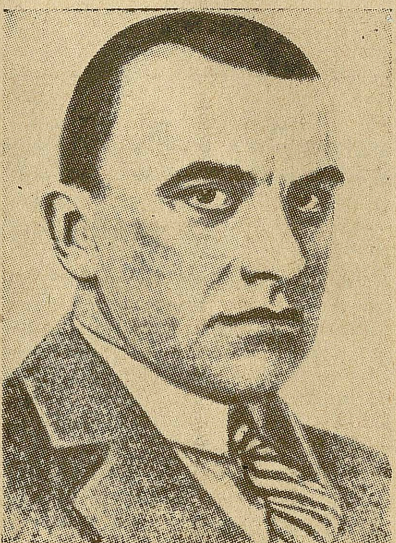
Z powracającymi od pracy mieszają się jeszcze kupujący i zwykłe łaziki. Na najbardziej ludnej 5 Avenue dzielące miasto na pół z wysokości drugiego piętra setki sunących autobusów, patrzyś na obmyte deszczem, lśniące jak lak dziesiątki tysięcy aut rozerwanych na sześć, osiem szeregów w obie strony.

Co dwie minuty gasną zielone światła na niezliczonych policyjnych latarniach ulicznych, a zapalają się czerwone.

Wówczas potok maszyn i ludzi zastęga na dwie minuty aby przepuścić tych, którzy napływają z bocznych ulic.

Pięćdziesiąt minut trzeba wówczas stracić na przejazd, który rano zabrałyby zaledwie kwadrans.

Jeśli kto nie zdąży przebiec przez ulicę i ujrzy jak zrywa się z łańcucha zastęga na dwie minuty lawina maszyn, niech bez względu na przekonania skryje się pod skrzydło policjanta. Dobrze powiedzie: skrzydło — w istocie jest to potężna łapa jednego z największych ludzi New Yorku z tego gumowa pal- ka; palka ta nie zawsze reguluje ruch. Niekiedy (na przykład w czasie demonstracji) jest ona środkiem zatrzymania cię. Dobrze uderzenie po łbie i jest ci wszystko jedno, czy to New York czy carski Białystok.



Włodzimierz Majakowski



Włodzimierz Majakowski

## Marsz urodzaju

Walcmy o większy plon my —  
potrójmy,  
ziemio,

niech raczy tu  
szanowny  
towarzysz nasz — urodzaj!  
Ze orząc sam, za wiele  
przelejesz, bracie,

potu,  
w kołchozy i  
artele  
zespolic się bądź gotów!  
Niezgorsza nasza gleba,  
Nie ziemia — znakomitość!  
Ale zawczasu

trzeba  
przeorać ją  
pod żyto.

Niż w ciągu lat głodowych  
zębami wściekle zgrzytać,  
z systemem

trójpołowym  
trza skończyć raz i kwita!  
Kulakom dzisiaj

biada!  
Zmieciemy ich — i znikną.  
Szykuje się

zagłada  
szarańczy i  
szkodników.

Przetrasnąć trza składnice,  
skarćmy  
leniwy bezczyn,  
by traktor

po próżnicy  
nie rdzewiał nam pod deszczem.  
Wiatr - trzpiot

i mąciwoda  
da lekcje pół ogromom.  
Niechże nam rękę

poda  
towarzysz nasz — agronom!  
Przeciw złej gospodarce

już ziemia  
staje sztorcem. —  
szykujcie się do marszu

do pracy,  
komsomolcy!  
Niemrawa wiosko,

zniknij,  
szary człowieku,  
rośnij.

Z U.S.A. na przęsici  
Idź, Kraju Rad,  
radośnie!

Walcmy o większy plon my —  
potrójmy, ziemio,

kłos daj!  
Niech raczy tu  
szanowny

towarzysz nasz — urodzaj!  
przekład Włodzimierza Słobodnika

KRYSZYNA MICHALIK NEDELKOVIC

## TRAGEDIA AMERYKANSKA

WŚRÓD wielu pożytecznych tłumaczeń z literatury obcych, jakie ostatnio oddane zostały do dyspozycji rosnących z dnia na dzień mas czytelników, ważną pozycję stanowi „Tragedia amerykańska” Teodora Dreisera, wydana przez „Książkę”.

W lecie 1950 roku minie 25 lat od napisania tej nadzwyczaj ciekawej powieści wielkiego współczesnego realisty, wielkiego nowatora postępowej prozy amerykańskiej, Teodora Dreisera. Gdy w r. 1925 Dreiser pracował nad tą monumentalną powieścią, mającą za temat życie ówczesnej młodzieży amerykańskiej, nie był już młodym pisarzem, miał też za sobą poważny dorobek dziennikarski, nowelistyczny i powieściopisarski.

Pochodząc z ubogiej i żłiny emigranckiej, poznał Dreiser od najmłodszych lat trudności najgorzej warunki życia amerykańskiego. Już jako mały chłopak zarabiał na życie, mając się wszelkiej pracy, by utrzymać siebie i pomóc licznemu rodzeństwu. Mimo tak trudnych warunków życiowych nie wyraził się myśli kształcenia się, marząc o młodości o zawołanie dziennikarskim. Wdziął on ścisłą więź między pracą dziennikarską a co-

\*) Teodor Dreiser, „Tragedia amerykańska”, przekład J. Zydlewskiej, „Książka”, t. I „Tęsknota”; t. II „Zbrodnia”, t. III „Kara”.

dziennym życiem tysięcy wyzyskiwanych robotników, nędzarzy, bezrobotnych, którym przypatrzył się w różnych większych miastach amerykańskich, gdy sam cierpiał nędzę, bezskutecznie poszukując pracy. Uczucie braterskiej miłości dla wszystkich cierpiących wskutek niesprawiedliwych społecznej cechowało Dreisera już wtedy, gdy jego zapędywania nie skrytykowały się ostatecznie, gdy jeszcze nie był komunistą.

Dzięki nadludzkiej pracy nad sobą osiągnął Dreiser swój cel. Od reportażu przechodził wnet do noweli, w których opisywał życie ubogich mieszkańców wielkich miast amerykańskich końca 19 wieku. Już w tych pierwszych nowelach wstrząsał np. opisem lynchu nad Murzynem, zdradzając swe humanitarne współczucie dla człowieka bez względu na kolor skóry oraz swe oburzenie na „wolną” Amerykę.

Dlatego też pierwsza jego powieść „Siostra Carrie” długo nie mogła znaleźć wydawcy. Nie uzyskał też rozgłosu jego następne utwory powieściowe ukazujące korpę wśród polityków finansistów amerykańskich, idących sobie wzajemnie na rękę i zatapiających najbrudniejsze sprawy przy pomocy przekupionej policji, fa, nawet przekupionych sędziów. Dreiser wskazywał wyraźnie, że tylko zbrodnicze kryminalne machinacje są podstawą milionowych fortun zezwierzęconych ludzi wypranych z wszelkich skrupułów moralnych. Dzięki tym powieściom staje się Dreiser pionierem nowego realizmu i krytyki społecznej w literaturze amerykańskiej, torując drogę swym następcom, postępowym pisarzom nadchodzącej epoki.

W „Tragedii amerykańskiej” Dreiser zamknął jako całość to, co częściami, fragmentarycznie, stanowiło temat jego dotychczasowych utworów. Jest ona dziełem jego dojrzałości jako pisarza i człowieka. W imponującym rozmiarach obrazie zebrał Dreiser wszystkie aspekty współczesnej mu Ameryki, główny akcent kładąc na dzieciach młodzieży. Do pracy nad powieścią przystąpił po gruntownym przygotowaniu się, przestudiowawszy także stronę prawniczą zagadnienia i przeprowadzwszy studia lokalne w ponurym więzieniu stanu nowojorskiego, Sing-Sing.

„Tragedia Amerykańska”, to pierwsze dzieło Dreisera, które cieszyło się dużym powodzeniem. Wielki sukces tłumaczyć można sensacyjnością tematu. „Dzieje miłosne Roberta i Clydy” frapowały wielu czytelników amerykańskich. Tymczasem nie był to jeszcze jeden kryminalny roman z zakończoną sceną sądu i egzekucją na krześle elektrycznym. Było to bowiem potężne oskarżenie rzucone całemu społeczeństwu amerykańskiemu, całemu ustrojowi kapitalistycznemu. Wszak Clyde Griffiths nie jest przeciętnym ułudziwcem ani tym mniej typowym zbrodniarzem. Jest on

wytworem warunków społecznych kapitalizmu.

Syn ubogich rodziców zaślepionych sekciarsko-religijnym fanatyzmem, nie ma Clyde widoków na kształcenie się, nie ma nawet możliwości uzyskania jakiegokolwiek zawodowych kwalifikacji, wbrew ułudzie do gruntu kłamiwej legendzie, jakoby w Ameryce przed każdym stały otworem wszelkie możliwości awansu społecznego. Pracując jako boy w eleganckim hotelu, widzi on dookoła siebie demoralizujący luksus, bezmyślne trwonienie pieniędzy i płaskie rotoryki bogatych wyzyskiwaczy, które dla jego bezkrytycznego umysłu stają się symbolem aspiracji życiowych. Ten sam cel użycia za wszelką cenę przyswiewia zresztą całej pracującej młodzieży, otaczającej Clyda. Nikt nie wskazuje nieukšanym młodym umysłom szczytniejszych dążeń, więc wzorują się na klasie posiadającej, która potrafi im dać tylko przykład odradzający. Tu właśnie leży punkt ciężkości „Tragedii amerykańskiej”, która jest tragedią marnującej się młodzieży amerykańskiej.

Amerykańska krytyka literacka zrobiła wiele, by z Clyda uczynić jednostkę o wyjątkowo słabej woli, z góry już niejako predestynowaną do zbrodni i upadku. Jest to oczywiście wypaczenie intencji autora, który Clyda ukazał jako typowy produkt warunków społecznych. A warunki te przedstawia Dreiser po mistrzowsku, z całą surową bezwzględnością.

„Tragedia Amerykańska” jest wprawdzie głównie tragedią młodzieży amerykańskiej, ale nie samą młodzieżą Dreiser tu ukazuje. Trzeba zwrócić uwagę, że już i w tym dziele, pisarzem na dwa lata przed podróży Dreisera do Związku Radzieckiego (1927), która tak wielki wpływ wywarła na jego dalszy rozwój ideologiczny, rozumie on w pełni, że młodzież nie może być inna, skoro od zarania spotyka ją tylko krzywdy, wyzysk i ucisk, skoro wszędzie widzi tylko obłądną pogon za dolarem, korpucję lub zakłamanie. Klasy panujące Ameryki są dotknięte rakiem kapitalistycznego rozkładu.

To, co uczynił Clyde i za co dostał się na krzesło elektryczne, to wynik jego biedy, jego poniżenia jako człowieka. Bogaty młody człowiek nie musiałby aż tak ciężko pokutować za podobną przewinę. Dreiser niezłomie wykazuje istnienie w Ameryce innej sprawiedliwości dla biednych a innej dla bogatych. Tutaj stajemy wobec jeszcze jednego ważnego fragmentu życia amerykańskiego: sądy i sekcje, jak nam Dreiser demonstruje na podstawie obiektywnie przedstawionych faktów, nie są bezstronne. Intrygi polityczne, pogon za wyższym stanowiskiem, wreszcie blask bogactwa, potrafią przemienić oblicze sprawiedliwości w mgiełkę okła. Jest to jedna z głębokich tragicznych bolączek życia w ustroju wielko-kapitalistycznym.



Teodor Dreiser

Tę bolączkę poruszył Dreiser zresztą i w innych swych powieściach. Więziennictwo amerykańskie stanowi także jeden z licznych problemów, poruszonych w „Tragedii Amerykańskiej”. Na podstawie skrupulatnych studiów i badań doszedł Dreiser do przekonania, że system, stosowany w więzieniach amerykańskich, jest równie nieuczynny jak niepedagogiczny. Wstrząsające opisy cel skazańców w ponurym więzieniu stanowią jakby portret z siłowni więziennego Sing-Sing.

Co więc daje ustrój kapitalistyczny ubogiemu młodym człowiekowi, stojącemu u progu życia? Zamiast szkoły dostępczej tylko dla zamoznych (o czym Dreiser dobrze wiedział z bolesnych doświadczeń swej własnej młodości), zamiast zamłowania do pracy, pojętej jako służba społeczna, pogon za dolarem, bez którego człowiek jest niczym, zamiast zdrowej etyki socjalistycznych społeczeństw zakłamanie i pruderie, zwłaszcza klasy posiadającej, która płaszczykiem wstępnego obłudy pokrywa swą zgniliznę moralną i wewnętrzny rozkład. Gdy dodamy do tego brak pewności jutra, ciągłe widmo bezrobocia i idące w ślad za nim nędza, to obraz Ameryki lat 1920—25-tych, jaki wyłania się z kart Dreiserowskiego monumentalnego dzieła, będzie zatrważający. Obraz ten nie uległ zmianom i dziś, gdy w bieżącym roku „Tragedia Amerykańska” święci będzie czterdziestolecie swego istnienia. Zmiana bowiem może przynieść tylko radykalną zmianę ustroju. Fakt, że już przed 25 laty Dreiser wskazał na to tak wyraźnie i dobitnie jest jego wielką zasługą.

W r. 1945, na krótko przed śmiercią, Dreiser zadeklarował wstąpienie do amerykańskiej partii komunistycznej. Pisał: „Nicia przewodnią mego życia i twórczości była wiara w wielkość i godność człowieka. Logika mego życia i mojej twórczości doprowadziła mnie w konsekwencji do przystąpienia do partii komunistycznej”.

Krystyna Michalik-Nedelković

## RYCIE AMERYKI

Na głównych ulicach i tam gdzie mieszkają posiadacze albo kandydaci na nich, jest czysto.

Tam, gdzie rozwija się większość robotników i urzędników, w ubogich dzielnicach żydowskich, murzynskich, włoskich na drugiej, na trzeciej Avenue, między 1-szą i 30-tą ulicą, panuje brud niemniejszy niż w Mińsku. Stoją kosze z wszelkimi możliwymi odpadkami, z których żebracy wybierają nieobjedzone kości i ogryzki. Stęgną cuchnące kałuże po dzisiejszym i wczorajszym deszczu.

W papierach i śmieciach brodzi się po kostki — nie metaforycznie, ale dosłownie, naprawdę. I to o piętnaście minut drogi piechotą a pięć minut jazdy od wspaniałej 5-jej Avenue i Broadwayu.

Bliziej portu jest jeszcze bardziej ciemno, brudno i niebezpiecznie.

W dzień jest to najciekawsza okolica. Zawsze panuje tutaj jakiś zgiełk — praca albo strajki i krzyki. Ziemia drży od dźwięków, które wydobywają się z statków i wydobywają z dna okrętu niemal cały dom za komini.

Chodzą pikietki strajkujących nie dopuszczając łamistraszków.

Dzisiaj 10-go września nowyorki związek robotników portowych ogłosił strajk solidaryzujący się ze strajkującymi marynarzami Anglii, Australii i Południowej Afryki i pierwszego dnia trzeba było wstrzymać trzydziście wielkich parostatków.

Na trzeci dzień bez względu na strajk przyjechał parostatkami Majestic, wprowadzonym przez łamistraszków, bogaty adwokat, leader socjalistycznej partii (tutejszych mienszewików). Tysiące komunistów wygwiżdżało go z brzegu i obrzuciło zginiętymi jajami.

Jeszcze po paru dniach strzelano do przybyłego na kongres generała-pogromcy Irlandii — i musiano go wyprowadzić pokrywką.

Avenue przylegająca do przystani nazywa się tutaj „avenue śmierci” z powodu pocągów wjeżdżających z towarami prosto na ulicę i z powodu rabusiów, którymi nabite są knajpy. Stąd rekrutują się bandyci całego Now Yorku zdolni wyrzucić dla pieniędzy całe rodziny, zapędzić kasjerów w kat kasy i odbierać dzienny zarobek zmieniając dolary przechodzącą publiczność.

Jeśli zapiąć — krzesło elektryczne, albo więzienie Sing-Sing. Ale można się wykroczyć. Bandyta idąc na grabież zachodzi do swojego adwokata i oświadcza:

— Sir, zadzwonić do mnie o tej i o tej godzinie, tam i tam. Jeżeli mnie nie będzie, to znaczy, że trzeba wnieść za mnie zastaw i wyciągać mnie z ciupy.

Sumy zastawne są wielkie, ale i bandyci nie mieli i nieźle zorganizowani.

Wyszło na jaw na przykład, że dom oceniony na dwa tysiące dolarów stał jako zastaw na dwa miliony wpłacone za różnych bandytów.

W gazetach pisano o pewnym bandycie, który wyszedł z więzienia na zastaw 42 razy. Tutaj, na Avenue Śmierci, operują Irlandczycy. W innych dzielnicach — inni.

Murzyni, Chińczycy, Niemcy, Żydzi, Rosjanie mieszkają we wszystkich dzielnicach zachowując swoje obyczaje i język, nie ulegając żadnym przemianom przez całe dziesięciolecie.

W New Yorku nie licząc miejscowości podmiejskich mieszka w przybliżeniu:

|                               |            |
|-------------------------------|------------|
| Żydów                         | 1 700 000  |
| Włochów                       | 1 000 000  |
| Niemców                       | 500 000    |
| Irlandczyków                  | 300 000    |
| Rosjan                        | 300 000    |
| Murzynów                      | 250 000    |
| Polaków                       | 150 000    |
| Hiszpanów, Chińczyków, Finnów | — 300 000. |

Zagadka: co to za jedni, prawdę mówiąc, ci Amerykanie i ilu jest tych stuprocentowych Amerykanów?

Z początku czyniłem dzięki usilowania, aby w miesiąc nauczyć się po angielsku. Gdy moje wysiłki zostały uwięzione powodzeniem to wszyscy w pobliżu mnie: sklepikarz i mleczarz, praczą i nawet policjant zaczęli ze mną mówić po rosyjsku.

Wracając nocą kolejką nadziemną widac że narody i dzielnice jak wiosna lub lato, zamykają okna przed komarami i moskitami, wymyły uszy i nozdrza i odkaszlnij we głowy pył. Złazszcza teraz, kiedy czteromiesięczny strajk 158.000 górników węgla kamiennego pozbawił miasto antracytu i komin fabryk dymią zabronionym normalnie do użytku — miałem.

Jeżeli zadrapałeś się, smaruj ranke jodyną, w powietrzu newyorskim pełno wszelkiego świństwa, od którego robią się jęczmień, puchną i ropieją wszelkie zadrapania i którym mimo to oddychają miliony niczego nie posiadających i nie mogących nigdzie wyjechać...

Przyszedłszy do domu, jeżeli jest wiosna lub lato, zamykają okna przed komarami i moskitami, wymyły uszy i nozdrza i odkaszlnij we głowy pył. Złazszcza teraz, kiedy czteromiesięczny strajk 158.000 górników węgla kamiennego pozbawił miasto antracytu i komin fabryk dymią zabronionym normalnie do użytku — miałem.

Jeżeli zadrapałeś się, smaruj ranke jodyną, w powietrzu newyorskim pełno wszelkiego świństwa, od którego robią się jęczmień, puchną i ropieją wszelkie zadrapania i którym mimo to oddychają miliony niczego nie posiadających i nie mogących nigdzie wyjechać...

Przyszedłszy do domu, jeżeli jest wiosna lub lato, zamykają okna przed komarami i moskitami, wymyły uszy i nozdrza i odkaszlnij we głowy pył. Złazszcza teraz, kiedy czteromiesięczny strajk 158.000 górników węgla kamiennego pozbawił miasto antracytu i komin fabryk dymią zabronionym normalnie do użytku — miałem.

Jeżeli zadrapałeś się, smaruj ranke jodyną, w powietrzu newyorskim pełno wszelkiego świństwa, od którego robią się jęczmień, puchną i ropieją wszelkie zadrapania i którym mimo to oddychają miliony niczego nie posiadających i nie mogących nigdzie wyjechać...

Przyszedłszy do domu, jeżeli jest wiosna lub lato, zamykają okna przed komarami i moskitami, wymyły uszy i nozdrza i odkaszlnij we głowy pył. Złazszcza teraz, kiedy czteromiesięczny strajk 158.000 górników węgla kamiennego pozbawił miasto antracytu i komin fabryk dymią zabronionym normalnie do użytku — miałem.

...Ameryka tyje. Ludzi z dwoma milionami dolarów uważa się za niezamożnych, początkujących młodzieńców.

Pieniądzy pożyczka się wszystkim — nawet papieżowi, na kupno pałacu, aby czekać na naprzeciwną nie zagłębili mu w papierkie okna. Pieniądzy biorą się zewsząd. Nawet z chudej kieski amerykańskich robotników.

Banki prowadzą wścieklą agitację o wkłady robotnicze.

Wkłady te wytwarzają stopniowo przekonanie, że trzeba się troszczyć o procenty, a nie o pracę.

Ameryka stanie się krajem finansjery i lichwiarstwa.

Dawni robotnicy mający nieopłacone jeszcze samochody na raty i mikroskopijny domek obłany potem do tego stopnia, że nie dźwiży to, iż wyrósł aż do drugiego piętra, tym byłem robotnikiem może się zdawać, że ich zadaniem jest pilnować tego, żeby nie przepadły ich papieskie pieniądze.

Może się zdarzyć, że Stany Zjednoczone razem staną się ostatnimi zbrojnymi obrońcami bezradziejnej sprawy burżuazji. Wówczas historia potrafi napisać dobrą w typie Wellsa powieść „Walka dwóch światów”.

Celem moich szkiców jest w przecieczu dalekiej walki zmusić do studiowania słabych i mocnych stron Ameryki.

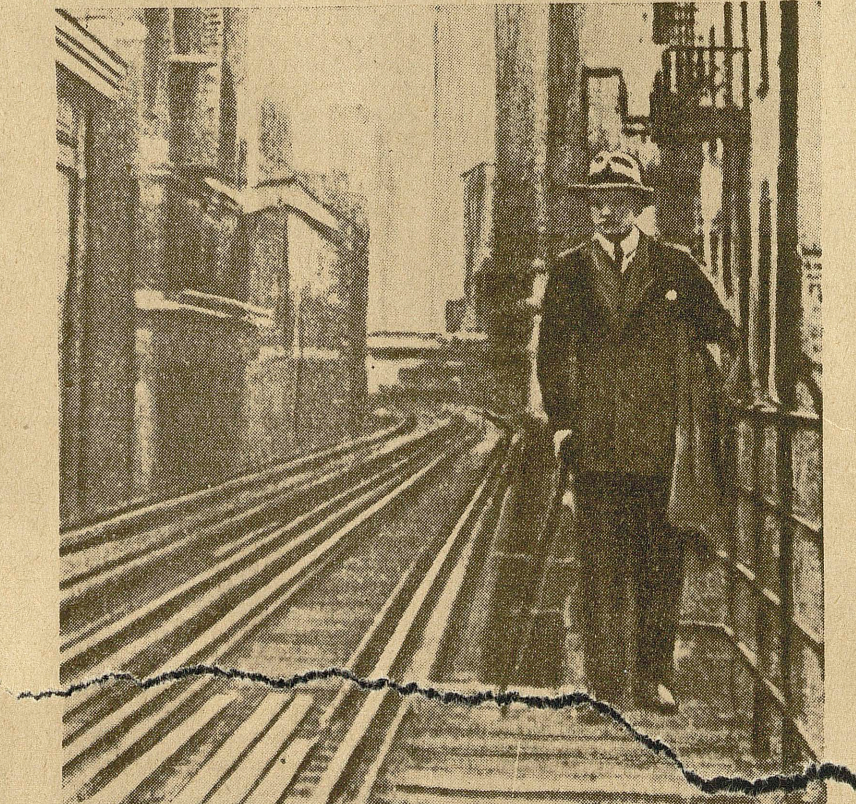
„Rochambeau” wpłynął do Hawru. Niepismienne domki, którym tylko palce wystarczą do liczenia pięter, port odległy o godzinę drogi, a gdyśmy już przycumowali, na brzegu zaroilo się od oberwanych kalek, dzieci.

Ze statku Amerykanie rzucali niepotrzebne centy (tak zwane „na szczęście”) a malcy dusząc się wzajemnie, drąc do reszty naddarte koszułe zębami i palcami wpijali się w miedziaki.

Amerykanie zaśmiewali się tłusto z pokładu i trzaskali migawkami aparatów fotograficznych.

Ci żebracy wstają przede mną jako symbol przyszłej Europy, jeśli nie przestanie ona piaszczys się przed amerykańskim i każdym innym pieniądzem.

Tłum. K. S.



Majakowski w Ameryce

STANISŁAW MEDELSKI

## BANDA TUCKERA

GDYBY ktoś przeczytał kilka wybranych fragmentów z książki Wolferta pt. „Banda Tuckera”, mógłby dojść do przekonania, że jest to przykładowa powieść sensacyjno-kryminalna. Znajdujemy w niej bowiem dzieje bandy gangsterów nowojorskich z lat trzydziestych naszego wieku. Bohaterowie powieści to starzy znajomi czytelników powieści kryminalnych: bandyci, milionerzy, policjanci, artyści. Tytuł książki nasuwa zresztą także tego rodzaju sugestie.

A jednak nie jest to książka dla zblazowanych amatorów kryminalnych sensacji. Dlaczego?

Przed wszystkim dostrzega się tu zupełnie odmienny, nowy sposób ujęcia przedstawianych bulwersujących wydarzeń. Autor wychodzi daleko poza szablonowe i banalne schematy powieści sensacyjnych, ujmując swą książkę w odmienne kształty artystyczne i prezentując poszczególne postacie na szeroko zarysowanym tle stosunków społeczno-gospodarczych, które działalność ich uwarunkowały.

Poprzez dzieje szajki gangsterów Wolfert w „Bandzie Tuckera” ukazuje rozkład moralny, jaki niesie ze sobą imperializm; ukazuje proces koncentracji kapitału. Drobny businessman, który chciał być „uczciwy” i zachować swoją niezależność, przez całe swoje życie, jak zając, szczyty przez psy gończe, przetrzącał się od handlu wełną do dostaw jaj i masła, od jaj i masła do spekulacji nieruchomościami, od nieruchomości do dzierżawienia garażu, wreszcie od garażu do loterii. Miał się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu nory, w której mógłby przycupnąć w spokoju i żyć zgodnie ze światem rozrastającego się wielkiego kapitału. Jednak całe to młotanie zbliżało go tylko do epoki Hitlera, kiedy to wielki business, drapieżny i triumfujący, spuścił ze smyczy całą sforę trzust i monopoli i doberał się nawet do zających nor.

Wolfert, Banda Tuckera, — przekład R. Czeki, 1949, „Czytelnik” nowoj. Warszawa, 1949 r. (Biblioteka w prenumeracie).

Niedługo trwa walka małych samodzielnych przedsiębiorstw z wielkim kapitałem. Ten ostatni jednym pociągającym zmiata z powierzchni ziemi „drobne interesy” i bezceremonialnie przywłaszcza sobie ich kapitały. Wolfert jednak nie ogranicza się do tego problemu. Idzie on dalej i odsłania przed czytelnikiem całą obłądną, zgniliznę moralną, degenerację współczesnej burżuazji amerykańskiej.

Dzięki trafnemu spojrzeniu na stosunki amerykańskie, Wolfert rozprawia się ostatecznie z mitem chłopca-czyszcibuta czy sprzedawcy gazet, który „oszczędnością i pracą” zrobił swój pierwszy milion, a następnie przyszył same. Udowadnia, że nie ma uczciwej drogi do klasy kapitalistów. Każdy z „businessmanów” nagromadził swe kapitały, zerując na krzywdzie społecznej, grabiąc i oszukując, a niejednokrotnie uciekając się do morderstwa. Business bowiem ma na swym koncie niejedno życie ludzkie. I bez względu na to, czy zabójstwo było dokonane własnymi, czy cudzymi rękami, czy było szybkie i bezpośrednie, czy też wykonane drogą pośrednią, stosunek zabójcy do ofiary pozostawał zawsze ten sam. Bez względu na to, czy mordercą była „figura”, uchwalająca przy stole konferencyjnym politykę, skazująca na powolną śmierć tysiące robotników, czy był to jedynie drobny pionek, wykonawca owej polityki — w obu wypadkach morderca nie uważał swych ofiar za żywych ludzi. Ludzie ci byli jedynie przeszkodą na jego drodze.

W powieści Wolferta dzieje się nie tak, jak w książkach kryminalnych, gdzie morderca jest krwiożerczym tytem, mającym „wewnętrzny” potrzebę mordowania z premedytacją swych bliźnich. Tutaj okazuje się, że bezwzględna zwierzęca i amoralna walka na śmierć i życie — to żelazne prawo imperializmu.

Banda Tuckera, to grupa ludzi, którzy zerując na krzywdzie ludzkiej, nie cofając się przed terrorem i morderstwami, doszli do milionów i zawiadnęli monopolem. Wydawałoby się, że zatem znajdują się w

stałym konflikcie z policją i całym aparatem państwowym. Ilic podobnego. Jeżeli policja prześladowała ich, to tylko w tym okresie, kiedy robili swój pierwszy milion, to znaczy, kiedy byli jeszcze dość tacy i można było z nimi „zadzierać”. Ale gdy, banda Tuckera opanowała monopol, cały zginił i skorpumpowany aparat policyjny stał na jej usługach i z całą bezwzględnością likwiduje wszystkich, którzy zagrażają jej interesom. Mało tego ci ex-gangsterzy mają swoich ludzi w parlamencie i w rządzie, mogą oddawać swym interesom całą politykę ogólnokrajową. Jeżeli mimo to banda Tuckera została w końcu ujęta i osądzona, to nie dlatego, iż znalazł się jakiś gorliwy i uczciwy sługa sprawiedliwości. Takich w ustroju kapitalistycznym nie ma. Stało się tak po prostu dlatego iż kapitały monopolu zostały zagrożone, banda więc straciła swe wpływy, przestała panować nad sytuacją, musiała zatem ulec likwidacji. Takie są nieubłagane prawa rządzące współczesną Ameryką, prawa dzikiej dżungli. Śmiało demaskująca zgniliznę i rozkład kapitalistów amerykańskich powieść Wolferta została na terenie Stanów Zjednoczonych skonfiskowana.

Można mieć do autora pretensje, że ograniczył się tylko do tego. Ukazując zarazem rozkład wewnętrzny, ale i potęgę imperializmu, Wolfert pozostawia czytelnika w nastroju pesymizmu i bezradności. Nie możemy się oczywiście dziwić, że Wolfert nie pokazał nam ani jednej postaci pozytywnej, przy takim układzie książki, gdzie bohaterami są tylko kapitaliści i ich pacholki. Ale możemy zgłosić do autora słuszne pretensje o to, że nie wyszedł poza granice zainteresowania się klasami posiadającymi i nie przeciwstawił zgnilizni moralnej i zewszereczonemu businessmanów — etyki ludzi pracy, robotników, walczących o realizację ustroju sprawiedliwości społecznej dla dobra całej ludzkości — mimo iż miał ku temu okazję, bo akcja powieści potraça kilkakrotnie o ruch robotniczy.

Stanisław Medelski



WITOLD ŁUKASZEWICZ

# EDWARD DEMBOWSKI

27 lutego 1846 roku zginął na Podgórzu Edward Dembowski, nieustraszonego emisariusza-rewolucjonisty, najwybitniejszego działacza lewicowego skrzydła konspiracji krajowej. Padł w kwiecie wieku w służbie wielkiej idei — społecznego i politycznego wyzwolenia mas ludowych. Jeszcze za życia opromieniała go rewolucyjna aureola. Kim był Edward Dembowski?

Urodził się w kwietniu 1822 r. w środowisku obszarńskim. Ojciec Edwarda, kasztelan Leon Dembowski, i matka Julia z Kochanowskich należeli do bogatej szlachty folwarcznej, graniczącej społecznie z magnaterią. Atmosfera rodzinna, tradycja senatorska tak po miecu jak i po kądzieli, obryzmia fortuna — wszystko to razem wzięte nie sprzyjało kształtowaniu się osobowości rewolucyjnej kasztelanów. Edward był nieprzeciętnym chłopcem: miał fenomenalną pamięć, dar wymowy i ognisty temperament. Szybko odbył domową edukację pod kierunkiem najlepszych, ówczesnych nauczycieli, okazując szczególne zamiłowanie do filozofii i literatury pięknej.

W dwudziestym roku życia ożenił się z bogatą szlachcianką Anielą Chłędowską i przez nią oraz przez swego ciotecznego brata Henryka Kamińskiego, znanego w kręgach młodzieżowych filozofa i publicystę, nawiązał ścisłą współpracę ze środowiskiem rewolucyjnym warszawskim i oddał do jego dyspozycji własne zdolności i znaczne zasoby finansowe. Dembowski, syn obszarńsko-feudala, odcinał się od klasy, z której wyszedł, i przechodził na pozycję plebejskiego nurtu w ruchu narodowo-wyzwoleńcym, kierowanym przez tajny Związek Narodu Polskiego działający pod patronatem emigracyjnego Towarzystwa Demokratycznego. Lewica Związku, z którą wiązał się Dembowski, przechylała się do utopijno-komunistycznych koncepcji Gromad Ludu Polskiego („Grudzią” i „Humań”) i miała swoją bazę społeczną w młodzieży uniwersyteckiej, postępowej inteligencji mieszczańskiej i szlacheckiej oraz wśród nielicznych uświadomionych elementów plebejskich. Była ona powiązana siatką kontaktów spiskowych z prowincjonalnymi ogniwami Związku Narodu Polskiego: przede wszystkim z ośrodkiem rewolucyjnym lubelskim, którym kierował młody adwokat-rewolucjonista Aleksander Karpiński, i z radomskim, gdzie główną rolę grał Leon Mazurkiewicz, patron trybunału sandomierskiego, rzecznik chłopskiej demokracji. Z lewicą konspiracji warszawskiej i radomskiej współdziałał ksiądz Piotr Ściegienny, przywódca tajnego Związku Chłopskiego (1840—1844) w Lubelskiem i Kieleckiem.

Dembowski zaczął szybko wybijać się na przywódcę lewicy w konspiracji warszawskiej. Był on rzecznikiem natychmiastowej rewolucji, z którą wiązał nieodłącznie sprawę wewnętrznej przebudowy społecznej na korzyść upośledzonych klas narodu. W roku 1842 założył Dembowski własny nakładem pieniędzy „Przegląd Naukowy” i skupił wokół niego literackie grono entuzjastów i entuzjastek z Narcyzą Zmichowską. W „Przeglądzie Naukowym” zamieścił Dembowski liczne artykuły z dziedziny filozofii, literatury, sztuki i nauk ścisłych. Był zwolennikiem filozofii Hegla, którą interpretował w duchu postępu, zwłaszcza w dziedzinie zagadnień społecznych. Ze stanowiska dialektycznej metody Hegla uzasadniał konieczność nadzieję komunizmu jako antytezy do ustroju burżuazji. Jednocześnie krytykował Dembowski ze stanowiska trzeźwego obserwatora utopijno-socjalistyczne doktryny francuskie, których wpływ na emigrację polską i działaczy spiskowych w kraju był ogromny. Należy jednak przy tym zauważyć, że w problematyce poruszanej przez Dembowskiego na łamach „Przeglądu Naukowego” w latach 1842—43 zagadnienia filozoficzne i literackie dominowały nad społeczno-politycznymi. Stan ten rychło uległ zmianie.

Kierownictwo Związku Narodu Polskiego uniezależniało się coraz wyraźniej od dyktand Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego Polskiego i parło do powstania w trzech zaborach wyznaczając termin wybuchu na wiosnę 1844 r. Tymczasem jesienią 1843 roku policja carska wykryła kilka ogniw spiskowych w Królestwie i uwięziła część ich przywódców. W obawie przed aresztowaniem Dembowski i wielu spiskowców uciekło do Poznania. Władze pruskie patrzyły na zbiegów z Królestwa przez palce, pozwalając początkowo korzystać z prawa azylu. Przybywszy do Poznania Dembowski rozwinął ożywioną działalność publicystyczną i spiskowo-rewolucyjną, wiąząc się z tajnym Związkiem Plebejuszy księgarza Walentego Stefańskiego. Plebejusze — była to najbardziej bojowa organizacja tajna polska w zaborze pruskim. Sprawiedliwy rozdział dóbr i zysków, zapewnienie robotnikom prawa do pracy, zniesienie na czas rewolucji własności obszarnej i sugrowanie wspólnej władzy — to było główne postulatów społecznych. Ziemiaństwo i młoda narastająca pod wpływem działalności Marcinkowskiego burżuazja poznańska oskarżała Związek Plebejuszy o tendencje komunistyczne. Nie było to oskarżenie bezpodstawnie, Stefański bowiem przejął się utopijno-komunistycznymi hasłami Gromad

Ludu Polskiego, którego odezwy i pisma przemycal jako księgarz do kraju.

Związek Plebejuszy opierał swą działalność na elementach plebejskich i młodzieży skorej do rewolucyjnego czynu. Związek Plebejuszy odegrał w ruchu narodowo-wyzwoleńcym Wielkiego Księstwa Poznańskiego wybitną rolę, ważniejszą bodaj niż konspiracja szlachecko-burżuazyjna, kierowana z emigracji przez Towarzystwo Demokratyczne Polskie i jego poznańską ekspozyturę Centralny Komitet, w którym największy wpływ wywierali Libelt, Guttry i Jędrzej Moraczewski. Byli oni przedstawicielami liberalnych, szlachecko-burżuazyjnych grup w ruchu, skorych do kompromisu z wielkopolskimi obszarnikami. Dembowski i Stefański dawali zastrzyki rewolucjonizmu Centralnemu Komitetowi Poznańskiemu i domagali się natychmiastowego rozpoczęcia walki zbrojnej w trzech zaborach.

W parze z działalnością spiskowo-rewolucyjną Dembowskiego szła jawna propaganda społeczna na rzecz chłopów i robotników. Dembowski zamieszczał bojowe artykuły na tematy społeczne w organach ruchu: „Dzienniku Domowym”, „Tygodniku Literackim”, „Roku” oraz bezimiennym w warszawskim „Przeglądzie Naukowym”, wypowiadał się za zniesieniem własności prywatnej, za społecznym wyzwoleniem chłopów i robotników od feudalnego i kapitalistycznego wyzysku.

Świadomość rewolucyjna Dembowskiego dojrzewała coraz bardziej, głównie pod wpływem lektury pierwszych prac Marksa i Engelsa, ogłoszonych na łamach „Roczników Niemiecko-Francuskich” i „Vorwärtsu” (1844) a krytykujących utopistów francuskich i omawiających szeroko problematykę robotniczą w związku z powstaniem tkaczy śląskich i ciężką dolą angielskiego proletariatu fabrycznego.

Jesienią 1844 r. został Dembowski wydany z Poznania przez władze pruskie za uprawianie propa-

gandy komunistycznej. Udał się wówczas do Galicji w charakterze emisariusza Centralnego Komitetu Poznańskiego z zadaniem przygotowania powstania przeciw Austrii. Na nowym terenie dał sobie doskonale radę z trudnościami, zorganizował sprawnie komitet powstańczy dla Galicji Zachodniej i Rzeczypospolitej Krakowskiej (współ z braćmi Fr. i Mich. Wiesiołowskimi, właścicielami Wojsławia) i został jego faktycznym kierownikiem. Podobnie

jak Karpiński i Leon Mazurkiewicz w Królestwie, jak Stefański w zaborze pruskim, był Dembowski w Galicji rzecznikiem natychmiastowego powstania, wyłamywał się spod instrykcji swoich mocodawców i działał na własną rękę w interesie mas ludowych. Przez intensywną propagandę rewolucyjną zjednywał dla ruchu postępową szlachtę i inteligencję, rzemieślników, robotników i chłopów. Agitował głównie w Bocheńskim, Jaselskim, Wadowic-

kiem, Rzeszowskim, robił wypad do Lwowa i Zaleszczyk, zbierając dane dotyczące rozmieszczenia wojska, magazynów wojennych itp. oraz badał i urabiał nastroje ludności, demaskując prawdziwe cele propagandy administracji austriackiej w stosunku do chłopów. Przeciwnikom rewolucji spośród szlachty folwarcznej groził Dembowski szubienicą.

W listopadzie 1845 r. udał się Dembowski do Poznania, gdzie wraz ze Stefańskim i Władysławem Dzwonkowskim, emisariuszem z Królestwa, przeprowadził zmianę składu Centralnego Komitetu Poznańskiego i skłonił go do wyznaczenia terminu rewolucji na luty 1846 r. Jednym z motywów tego postanowienia była chęć zaskoczenia rządu austriackiego, który dla sparaliżowania przygotowań rewolucyjnych w Galicji planował reżę szlachty przez chłopów-rabaców.

Wróciwszy do Galicji Dembowski oddał się całkowicie agitacji rewolucyjnej, tak zuchwale i o tak fantastycznych środkach, że stał się postacią legendarną. Występował często w przebraniu, jako lokaj dostawał się do domów wysokich urzędników austriackich, podsłuchiwał ich rozmowy o planach zdławienia ruchu rewolucyjnego. Władze wyznaczyły cenę na jego głowę, policja ścigała go listami gończymi.

Gdy wybuchła rewolucja w Rzeczypospolitej Krakowskiej, Dembowski opowiadał wraz z oddanymi sobie spiskowcami 24 lutego 1846 r. Wieleż, zorganizował władzę rewolucyjną, nakazał pobór do wojska i na czele sformowanego przez siebie oddziału górników udał się do Krakowa. Tu stanął przy boku dyktatora Tyssowskiego jako jego sekretarz, w istocie zaś jako tajny kierownik całej akcji rewolucyjnej. W nocy z 24 na 25 lutego uderzył na zamach burżuazyjno-szlachecki skrzydła ruchu na dyktaturę Tyssowskiego, stworzył trybunał rewolucyjny dla karania zamachowców i dywersantów oraz zorganizował Klub Rewo-

lucyjny, powołując doń zdecydowanych zwolenników programu szerokiej przebudowy społecznej. Klub został zamknięty z rozkazu Tyssowskiego już po pierwszym posiedzeniu — a to z powodu obaw, jakie wzbudził w umiarkowanych szlachecko-burżuazyjnych kręgach powstańców. Jako sekretarz Tyssowskiego rowe kary na tych dziedzicach, którzy wbrew postanowieniom Manifestu Rządu Narodowego z dnia 22 lutego 1846 r. żądali od chłopów odbierania pańszczyzny i innych świadczeń feudalnych; nie podpisał natomiast odezwy przewidującej represje w stosunku do chłopów za udział w najściach na dwory, mordy i rabunki szlachty. Chcąc zaś odwieść chłopów od napadów na dwory i jednak ich dać władz powstańczych postanowił Dembowski oddziaływać na wzbudzoną w nich przy pomocy patriotycznej części kleru. Nieraz też sam w przebraniu chłopskim wymykał się w okolice Krakowa i agitował wśród chłopów przeciw Austrii.

27 lutego 1846 r. zorganizował Dembowski procesję, aby przy pomocy łatwiej pozyskać zaufanie chłopów. W procesji wzięło udział około 500 osób, w tym 30 księży i oddział strzelców. Na czele procesji kroczył Dembowski w białej chłopskiej siermięce z krzyżem w ręku. Procesja udała się na Podgórze, tu została znielana zaatakowana przez oddziały piechoty austriackiej należące do korpusu gen. Collina. W trakcie starcia Dembowskiego ujęto i rozbrojono po bohaterskim oporze. Wywrał się on jednakże z rąk eskorty i uciekł do ucieczki. Został wszakże trafiony kulą karabinową i przeżyty przez żółdaka po trzykroć bagnetem. Śmierć Dembowskiego przesła niepostrzeżenie. Władze policyjne austriackie poszukiwały go w dalszym ciągu. Dopiero po pewnym czasie uwierzyły w zgon bohaterskiego rewolucjonisty. Nastąpiło to już po załamaniu się rewolucji.

Była to rewolucja burżuazyjno-demokratyczna. Dembowski i Stefański, Leon Mazurkiewicz i Ściegienny (do jesieni 1844 r.) reprezentowali w tej rewolucji nurt plebejski — byli rzecznikami „agrarnego demokracji” czyli chłopskiej rewolucyjnej drogi w walce przeciw patriarchalno-feudalnemu absolutyzmowi.

Revolucja 1846 r. załamała się, bo kierująca nią szlachecko-burżuazyjna demokracja nie miała za sobą najważniejszego sojusznika, nie posiadała silnego plebejskiego zaplecza. Sama zaś była za słaba, by przeprowadzić zwycięską rewolucję i do tego w trzech zaborach jednocześnie. Zaplecze plebejskie tej burżuazyjno-demokratycznej rewolucji było rozbite: w Królestwie Polskim od jesieni 1844 r., tj. od likwidacji przez carską policję Związku Chłopskiego Ściegiennego; w zaborze pruskim w lutym, listopadzie i grudniu 1845 r. przez aresztowanie wśród członków Związku Plebejuszy i uwięzienie jego przywódcy Stefańskiego; wreszcie na najważniejszym odcinku — w Galicji przez kręci politykę miejscowych szlachecko-burżuazyjnych przywódców powstania, której następstwem było zatamowanie drogi do masy chłopskiej plebejskiej nurtowi ruchu: Dembowskemu i jego zwolennikom... oraz śmiercionośna dla rewolucji rabacja. W tych warunkach ruch rewolucyjny 1846 r. musiał się załamać.

Nie należy wszakże przy tym wszystkim, co powiedziano wyżej, przeceniać roli rewolucyjnej plebejskiego nurtu w polskim ruchu narodowo-wyzwoleńcym lat czterdziestych XIX w., którego pierwszy etap zamyka rewolucja 1846 roku. Nurt ten pomimo znacznego zasięgu klasowego i terytorialnego nie był jeszcze dostatecznie silny i dynamiczny, bo brak w nim było właściwego rewolucyjnego trzonu — proletariatu fabrycznego. Braku tego nie był w stanie wypełnić mimo całej swej ofiarności i bojowości ani sprostowany rzemieślniczy ani chłop pańszczyźniany. Brak proletariatu fabrycznego w plebejskim nurcie ruchu narodowo-wyzwoleńcym na ziemiach polskich w pierwszej połowie XIX stulecia był następstwem zapóźnienia w stosunku do Zachodu rozwoju przemysłowego kraju.

Witold Łukaszewicz

## KSIAŻKI NADESLANE

Wydawnictwo „Czytelnik”

Zeromskiego St. — Opowiadania — utwory powieściowe, str. 322.  
— Duma o hetmanie, str. 225.  
— Wiatr od morza, str. 375.  
Anna Kowalska — Opowiadania greckie, str. 141.  
Józef Kiellgren — Ludzie przy moście, str. 258.  
Wyd. „Czytelnik” — Księga mówią, str. 164.  
Wacław Rzeżacz — Zielona książka, str. 139.  
Witold Wyrpsza — Stocznia, str. 48.  
Jurij Tynjanow — Podporucznik Kiże, str. 8.

Wydawnictwo „Chłopski świat”

Wieś walcząca o sprawiedliwość i dobrobyt, str. 261.  
Czesław Wycech — Z dziejów chłopskich walk, str. 293.  
Priszwyn M. — Skarbica słona, str. 94.  
Czesław Wycech — Materiały do dziejów ruchu ludowego, str. 100.  
Wojciecha Janina — O Kowalczyku, który serca przekuwał, str. 64.

Stefan Wilanowski



EDWARD DEMBOWSKI  
(1822 — 1846)

„Henryk „zapalenie” stał otrzymanie swoje przewidywało, że był tak przedko, chwicie i gwałtownie, jak gdyby najmłodszemu z nas wszystkich, najczystszej młodości, wybił go dzina. Alchemik, co by wziął trzech ludzi z burzliwymi i sprzecznymi skłonnościami, czterech innych z cnotą najczystszej, pomieszał razem, utłukł w młóźnie, nalał wo-

da wiślaną, zagotował przy wulkanie, odcodził przy księżycu, trochę podsylił siarką i saletą, miałyby dopiero dla osobliwości lub dla przesłania spokojnych amatorów wista i ojców rodziny esencję, podobnie jak do takiego, jak Henryk człowiek... Przy nadzwyczaj wziętej postaci, przy dość miłym wychowaniu, żelazna jego organizacja nie upadła pod żadnym nadużyciem zbytków i trudu, egoizmu i poświęcenia. Ach, żal mi teraz, że napisałem to słowo: egoizm. On i egoizm? On, co tak szafował zdrowiem, majtkiem, szczęściem, co dla przyjaciół lub szlachetnego celu byłby swobodnie imię oddał bez wahania i nazwał go egoistą... Henryka osobistość tylko była tak wydatną w tym, co czynił, tak zainteresowaną w tym, czego pragnął, tak połączoną z tym, czemu się poświęcał, że byłby się dał zabić dla tego, a jeszcze wielu bardzo ludzi i mnie samej zdawało się mogło, że dał się zabić, bo mu to wielką przyjemność robiło... Strach czasem było tego dziecka z błękitnymi oczami, że ślepym niedoświadczeniem, a żądzą plemienną. Przeczuwało się, że dusza jego... musi być spokojny i zbrojenia jakieś fatalne, planetarne zakreślić kolo... (Z powieści Narcyzy Zmichowskiej pt. „Poganka”, napisanej w r. 1845; Edward Dembowski występuje tu pod imieniem Henryka).

## STEFAN WILANOWSKI

# WALKA VIETNAMU

14 stycznia 1950 r. prezydent Ho Chi Minh oświadczył a radio „Głos Vietnamu” nadoło na cały świat, że rząd Demokratycznej Republiki Vietnamu gotów jest ustanowić stosunki dyplomatyczne ze wszystkimi państwami, które zechcą współpracować z Vietnamem na bazie równości, wzajemnego szacunku, terytorialnej nienaruszalności i narodowej niezawisłości, a to dla zachowania pokoju na świecie i współpracy w rozwoju demokracji na świecie.

W odpowiedzi na tę deklarację, Republikę Vietnamską uznały Chiny, Republika Ludowa, Związek Sowiecki i kraje Demokracji Ludowej, a wśród nich przed kilku dniami i Polska.

Rząd Stanów Zjednoczonych i jego lokaje uznają „cesarza Vietnamu” Bao Dai, a na marginesie tego uznania w artykule pod tytułem: „Indochiny następnie” publicyści nowojorski Del Vayo stwierdza, że nawet wrogowie komunizmu uważają Bao Dai za zdradę ojczyzny („Nation”, New York, 19 stycznia 1950 r.).

Wschodnie Indochiny mierzą 737.000 km. kwadr. Zamieszkuje na tym terenie 21 i pół miliona ludzi. Kraj, który dziś nazywamy Vietnamem, co oznacza „kraj południa”, zamieszkuje 18 milionów ludzi, zaś pozostałą część wschodnich Indochin stanowią „królestwa”: Laos, który liczy 944.000 mieszkańców, i na którego czele stoi marionetka imperialistyczna „król” Sisavang Vong, i Kambodża, licząca 2.800.000 mieszkańców, z „królem” Sihanouk.

W czasie wojny imperialistom japońskim nie przeszkadzało, że Vietnamem (wtedy nazywany Annamem) rządzili dalek Francuzi. Byli oni całkowicie powolni Japończykom; gospodarstwo Vietnamu współdziałał z Japonią; zresztą „cesarzem annamskim” była przecież marionetka japońska Bao Dai, obecnie lokaj francusko-amerykański.

10 marca 1945 r. Japończycy proklamowali „niepodległość” Vietnamu, co oznaczało, że zastąpili oni Francuzów, którzy w ciągu jednej nocy stracili pozycję suwerenów. Pozostawili oni „cesarza” Bao Dai, a na czele rządu vietnamskiego stanął Pham Quynh, a po nim Tran Trong Kim.

16 sierpnia 1945 roku nazajutrz po Hiroszimie, japońska agencja prasowa Domei ogłosiła przerwanie działań wojennych.

Tegoż dnia Viet Minh, liga niepodległości Vietnamu, na której czele stał obecny prezydent Ho Chi Minh, zorganizowała wielką manifestację w stolicy Tonkinu, Hanoi. 18 sierpnia rewolucyjne oddziały szturmowe zajęły gmachy publiczne. Władza znalazła się w rękach Viet Minhu. 25 sierpnia „cesarz” Bao Dai abdykował.

29 sierpnia 1945 roku ogłoszona została oficjalnie nowa konstytu-

cja Demokratycznej Republiki Viet namu. 2 września odbyły się wielkie manifestacje; lud vietnamski radośnie witł swe wyzwolenie.

Tymczasem faszysta De Gaulle 16 sierpnia 1945 roku mianował admirała Thierry d'Argenlieu wysokim komisarzem Francji w Indochinach i polecił mu „przywrocić suwerenność francuską w Indochinach”. Admirał wyładował w Indochinach 2 listopada. Ale już 5 października przyleciał na amerykańskim aeroplanie do Saigonu generał Leclerc, a za nim przybyła dywizja zmotoryzowana. W Saigonie znajdowała się już wcześniej kompania 5 pułku piechoty kolonialnej i batalion Gurkhow, którzy przysłali Francuzom Anglię. W międzyczasie zrzucono został ze spadoczonu (13 września) francuski pułkownik Cédille. Z 1200 jeńców francuskich, uwolnionych z niewoli japońskiej, zorganizował on oddziały wojskowe. Uzbrojenia dostarczyli Anglii i Amerykanie. Wszyscy imperialiści, jak widać, działali ręką w rękę, byleby tylko nie dopuścić do wyzwolenia wyzyskiwanych ludów kolorowych.

Francuzi i Anglii zaatakowali wojska ludowe. Wytworzył się taki stan rzeczy, że część Saigonu była w rękach imperialistów, a część w rękach Viet Minhu.



Demonstracja robotników francuskich przeciwko wojnie w Vietnamie.



Ale Viet Minh nie był jedynie ruchem wyzwolenia narodowego. Był to jednocześnie wielki ruch wyzwolenia socjalnego. Hasła rewolucyjne zaczęto realizować. Powołano Rady Ludowe (Narodowe) w miejsce rad notabłów, mandarynów wykonywujących władzę administracyjną i sądową na prowincji. Prowadzono walkę nie tylko przeciwko wyzyskiwaczom francuskim, ale i bogaczom i wyzyskiwaczom annamskim. Bessilni wobec wyzwolenia ruchów ludu vietnamskiego, imperialiści francuscy, angielscy i amerykańscy próbowali wygłodzić Vietnam, nie dopuszczając statków z żywnością i sekwstrując składy z zapasami.

Lud vietnamski nie ugiął się jednak. 16 stycznia 1946 r. odbyły się wybory do Zgromadzenia Narodowego. 2 marca 1946 zebrane w Hanoi Zgromadzenie Narodowe wybrało prezydentem Ludowej Republiki Vietnamu Ho Chi Minha, dało mu pełną władzę i zleciło zorganizowanie rządu.

Kilka dni później został zawarty układ z rządem Republiki Francuskiej, tzw. Układ z 6 marca 1946 roku, umocą którego Francja uznała Republikę Vietnamu jako państwo wolne (?), mające swój rząd, swoją armię i finanse, z tym, że

Vietnam pozostaje częścią Federacji Indochińskiej (razem z królestwami Laos i Kambodża) i częścią Unii Francuskiej.

Ho Chi Minh udał się do Paryża, jako szef państwa Vietnam i 15 września 1946 r. podpisany został układ ustalający modus vivendi między Francją a Vietnamem.

Stalo się widocznym, że znajdująca się w obojętnej podległości wojennych i z każdym dniem coraz więcej zależna i posłuszna rozkazom amerykańskich imperialistów Francja, stara się zyskać na czasie. Po Pakcie Atlantycznym zapowiedziano przecież zawarcie Paktu Pacyfiku.

W międzyczasie w Vietnamie zaczęło się przywracanie stanu poprzedniego: pod opieką francuskich bagnetów i karabinów maszynowych próbowali wracać do swych majątków i stanowisk, mandaryni — notabli. Zaczął się ucisk i represje za rzekome i nielustniejące krzywdy. Chodziło o likwidację ludzi rewolucji, świadomych przywódców ludu.

Stalo się jasne, co nastąpi jutro, jeśli lud vietnamski w porę się nie zabezpieczy. 19 grudnia 1946 r. rozpoczęło się powstanie ludowe. I od tego czasu, jak twierdzą francuscy podlegacze wojenni, Francja znajduje się w stanie wojny z Republiką vietnamską.

Aby ukryć fakt mordowania ludu vietnamskiego przez francuskie marionetki amerykańskiego imperializmu, stworzono szereg „aktów prawnych” i faktów, mających usankcjonować te bezprawia. A więc że „lud vietnamski spontanicznie wezwał cesarza Bao Dai do powrotu do kraju i objęcia władzy”. Potem cesarz vietnamski zawarł układ z Francją „powierzając wojskom francuskim obronę Vietnamu”. I płyną na Daleki Wschód statki z amerykańską bronią, i dawnymi gestapowcami, obecnie żołnierzami „francuskimi” (bo lud francuski nie chce walczyć). A francuscy lokaje zapewniają amerykańskich panów, że „obronia” Vietnam, i że w Vietnamie nie powtórzy się to, co się stało w Chinach. Tymczasem, jak jest naprawdę? W paryskim miesieczniku prawniczym czytamy: „Deklaracja ministra, że poruszał się w Indochinach bez eskorty nie może być brana na serio. Na prawdę, to 80 proc. obszaru, składającego się z Tonkinu, Annamu i Kochinchiny, czyli tzw. Vietnamu, znajduje się poza naszą kontrolą i jest pod władzą rządu Viet Minhu, doskonale zorganizowanego, dysponującego administracją cywilną i armią regularną” (Hommes et Mondes, Nr 41, grudzień, 1949).

Los imperialistów w Azji jest przesadzony. Zwycięstwo Chin Ludowych zapoczątkowało proces wyzwalania się ludów Azji Wschodniej, którego nie nie zdoła powstrzymać.



# PO KURSIE W JADWISINIE

W styczniu br. Ministerstwo Kultury i Sztuki zorganizowało przy współudziale ZG. ZAMP kurs dla młodzieży szkół artystycznych i studentów historii sztuki w Jadwisinie pod Warszawą. Dwutygodniowy, ogólnopolski kurs estetyki marksistowsko - leninowskiej jest jednym ze środków realizacji głównego zadania, wysuniętego na Festiwalu Wyższych Szkół Artystycznych w Poznaniu — wykształcenia artysty świadomego roli sztuki w nowej rzeczywistości, podejmującego z całym zrozumieniem uczestnictwo w budowie socjalistycznej przyszłości oraz rozporządzającego sprawnymi i wydoskonalonymi środkami artystycznymi. Młodzi ar-

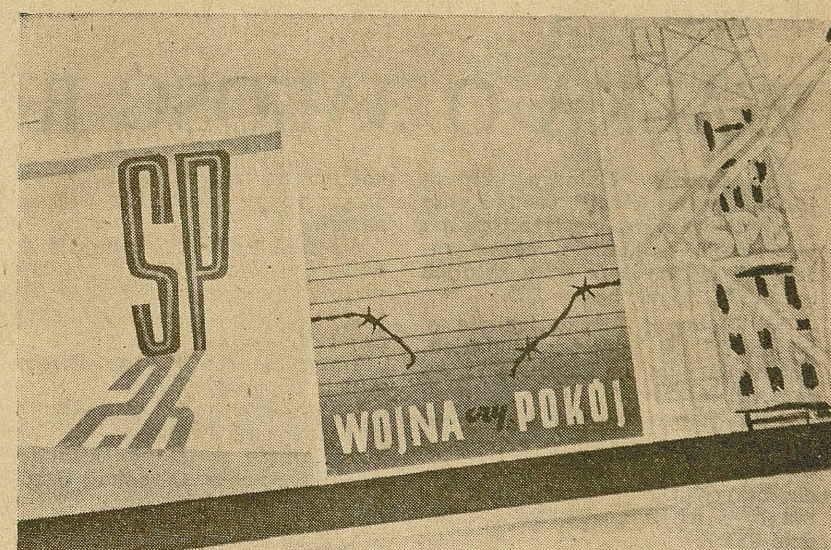
tyści, którzy z entuzjazmem przyjęli w Poznaniu postulat odrodzenia sztuki polskiej w realizmie socjalistycznym zdobywali na wykładach w Jadwisinie zasady estetyki marksistowsko - leninowskiej, kształtowali swój stosunek do dziedzictwa sztuki polskiej i światowej, uczyli się marksistowsko-leninowskiej metody badań kultury. Liczne i długie dyskusje miały rozwiązywać wątpliwości i ugruntować podawaną przez wykładowców wiedzę.

Zamieszczamy fragmenty z końcowych kolekwialnych odpowiedzi pisemnych na trzy wyszczególnione niżej tematy. Cytały te stano-

wiały przykłady sposobu patrzenia młodych artystów i historyków sztuki na dzieło sztuki i jego ocenę, pokazują, jak adepci sztuki pojmują realizację postulatów realizmu socjalistycznego w poszczególnych dziedzinach twórczości artystycznej, co projektują. Dla niektórych kurs w Jadwisinie był pierwszym zastrzykiem filozofii i estetyki marksizmu - leninizmu, dla innych znacznym poszerzeniem dotychczasowego zasobu wiedzy z tego zakresu, dalszym umocnieniem ideologicznych i naukowych podstaw w pracy artystycznej, dla wszystkich ogromnym bodźcem do samodzielnego kształcenia się i do kolektywnej pracy, oraz do rozpowa-

szechniania na uczelniach zasad marksizmu - leninizmu w sztuce. Wypowiedzi kursistów z Jadwisina nie zawsze są w pełni dojrzałe, nie wszystkie problemy podjęte przez nich rzetelnie przemyślane, ale wszędzie przejawia się ostre metody marksistowskiej, prawie każde wypracowanie zdradza właściwy kierunek poszukiwań. Śledząc głęboki przełom, który się dokonał wśród młodzieży szkół artystycznych, patrząc na ich entuzjazm w podjęciu zadania budowy socjalistycznej - realistycznej sztuki polskiej, możemy z optymizmem oczekiwać wyników ich pracy.

REDAKCJA



Fragment wystawy grafiki użytkowej na Festiwalu Poznańskim.

Temat: Próby analizy krytycznej i wartościowania konkretnego dzieła sztuki z punktu widzenia estetyki marksistowsko-leninowskiej.

„Twórczość Goyi stanowi przykład sztuki pojmowanej marksistowsko, jako subiektywne odbicie obiektywnej rzeczywistości. Goya dojrzał rzeczywistość swojej epoki oczami realisty, stworzył jasny i zrozumiały jej obraz, odpowiednio go jednak interpretując. Gdy np. przedstawia torreadorów mordujących byki, lub mordowanych przez byki na oczach gapiów, to nie ogranicza się tylko do naturalistycznego odmalowania makabry, ale sposób przedstawienia zawiera równocześnie ocenę — potępienie. Artysta pokazując rzeczywistość oceną ją zarazem. W takim stosunku do rzeczywistości wyraża się humanizm artysty.”

„Obu twórców (Dumiera i Goya) cechuje mistrzowskie władanie ostrzem satyry. Wydaje mi się rzeczą słuszną zwrócić uwagę młodych malarzy polskich na Goya — satyrę. Dopóki trwa walka klasowa, dopóki musimy tępić wrogów klasowych i zwalczać moralność mieszczańską, dopóki zabobon wleczą za sobą ogony „wielnych”... dopóty jedna z metod wychowawczych partyjnej polskiej sztuki powinna być ostra, bezwzględna satyra. Tępić obskurantyzm, apolityczność,

spekulancję, obłudę moralną! Patrzeć i uderzać na wroga, jak czynił to kiedyś Goya — realista.”

Damasiewicz Witold  
ASP, Kraków, V r.

„Popularność utworów Wieniawskiego stale wzrasta. Nasuwa się pytanie, dlaczego kompozycje te potrafią przeniknąć we wszystkie warstwy społeczne i są z równym zainteresowaniem słuchane przez robotnika, chłopca i inteligenta pracującego? „W większości utworów Wieniawskiego są opatrzone tytułem, który pozwala słuchaczowi odtworzyć wrażenia, jakie kompozytor w procesie tworzenia przeżywał. Dzięki temu utwory są bardziej komunikatywne.”

Kucharski Janusz  
konserwatorium warszaw. rok I.  
wydz. instrument-skrzypce.

Temat: Realizm socjalistyczny jako podstawowe metody twórcze sztuki polskiej na obecnym etapie drogi do socjalizmu (podstawy ideologiczne i metodologiczne — podstawy w marksistowsko-leninowskiej nauce o sztuce — wywód historyczny — próba rozwinięcia na przykładach jednej z dyscyplin artystycznych (architektura, plastyka, teatr, film itp.).

„Jak się przedstawia walka o realizm socjalistyczny w architekturze?

W tej chwili w architekturze silny wpływ mają dwa kierunki formalistyczne tj. konstruktivism i funkcjonalizm. Z nimi to musimy walczyć!”

Wielkie zadania stanęły przed architekturą i urbanistyką polską. Wielkie niespotykane dotąd zamówienia społeczne. Wykonali się nowe problemy do rozwiązania — stworzenie nowego typu domów i osiedli mieszkaniowych. Nowy typ gmachów — świetlice robotnicze i wiejskie, domy kultury, przedszkola, żłobki itp. Architekt ponosi dzisiaj większą niż kiedykolwiek odpowiedzialność.

Hasłem, w myśl którego musimy budować jest architektura socjalistyczna w treści, narodowa w formie. Architektura socjalistyczna winna wyjść przede wszystkim do człowieka. Budowane mieszkania winny zaspakajać codziennie potrzeby człowieka, powinny być jasne, ciepłe, wygodne i estetyczne. Postulat przystosowania do potrzeb i estetyki obowiązuje również budunki użyteczności publicznej — kina, teatry, szkoły, przedszkola itp.”

„Dzięki doświadczeniom radzieckim możemy częściowo uniknąć błędów w naszej pracy. Musimy tworzyć nową, wspaniałą architekturę, Wiemy, że to nie jest łatwe. Nie wolno nam jednak tracić optymizmu. Nasza architektura musi być wspaniała, godna miana socjalistycznej.”

Halina Wróblewska  
Politechnika Warsz., Wydz.  
Archit. III r.

„Dzisiaj, gdy klasa robotnicza w naszym kraju odniosła zwycięstwo, ważne zmobilizować masy do budownictwa socjalistycznego. Jednym ze środków mobilizujących masy winna być nasza sztuka, oparta o nową metodę twórczą realizmu socjalistycznego, przeciwstawiającą się mętnym założeniom estetyki burżuazyjnej. Nowa sztuka — opierająca się na marksistowsko-leninowskiej estetyce będzie — siłą mobilizującą — proletariatu do walki o powszechne zwycięstwo.”

„Wprowadzenie dyscypliny marksistowsko-leninowskiej na wyższych uczelniach posiada bardzo wielkie znaczenie. Przyczyni się do zrozumienia przez młodzież szkół artystycznych celów i zadań twórczych, jakie przed nimi stawia państwo i społeczeństwo. Nowa sztuka przysięgać będzie nasz marsz do socjalizmu jeśli zrealizuje postulat realizmu socjalistycznego.”

Jerzy Kossak

„Artysta chcąc nadać swej sztuce poznawczą i wychowawczą funkcję, musi dbać nie tylko o swoje wykształcenie fachowe, techniczne, ale również zdobywać ideologiczną dojrzałość.

Artysta socjalistyczny nie może przykładać nadmiernej wagi do samego tematu, zaniedbując przy tym formę. Nie wyżywianie się w formalistycznym eksperymentarstwie i nie naturalistyczne odbicie rzeczywistości!

Człowiek — oto temat naszej sztuki. Człowiek w pracy, człowiek w walce o postęp. Nie człowiek abstrakcyjny, oderwany od miejsca i czasu swego życia, ale człowiek ściśle określony.”

Pikuła Franciszek  
Wrocław. PWSSP I r.

„Zadaniem naszej plastyki powinno być artystyczne odwzorowanie procesu budowania socjalizmu w Polsce. Należy przy tym odwołać się do dorobku okresów minionych, wybierając twórców postępowych oczywiście na ówczesnym etapie historycznym. Cenne źródło doświadczeń historycznych dla młodego twórcy stanowi krytyczny realizm mieszczański połowy XIX w. — np. bracia Giermscy, Szermentowski, Michałowski, Rodakowski.”

Jakimowicz Irena  
W-wa historia sztuki V r.

„Od dramatu wymagamy, aby poruszał ważne zagadnienia dzisiejszej rzeczywistości, aby odzwierciedlał ważne przemiany społeczne. Potrzebą nam dramatu, który by wyrażał politykę klasy robotniczej, przedstawiał jej walkę, oddawał heroizm proletariatu.”

Rembacz Anna  
W-wa Szkoła Artystyczna, IV r.

„W myśl realizmu socjalistycznego, twórcą jest zobowiązany do stałej i sumiennej kontroli społecznej funkcji swych dzieł. Opierając się na niej winien odpowiednio korygować swą twórczość, winien dbać o odpowiednio oddziaływanie swej sztuki na odbiorców. Sztuka — wg. estetyki marksistowsko-leninowskiej — nie jest spontanicznym „wyzwoleniem najgłębszych, niekontrolowanych rozumowo instynktów ludzkich”, „nachcieniem”, „zespoleciem się z Bogiem”, jak twierdził estetyki ide-

alistyczne, ale jest tworzona i kontrolowana przez artystę, pozostającego w stałym i ścisłym kontakcie z odbiorcą artysty, świadomego roli swych dzieł w całokształcie życia społecznego.

Otwarta na wszystkich odcinkach twórczości kulturalnej walka o unaukowanie i racjonalizację pracy objąć winna także plastyka — realist. Nie powinien on pozostawiać swojej pracy przypadkowym fluktuacjom temperamentu, ale ją świadomie organizować, w pewnym sensie planować i dbać o wypełnienie postawionych przed sobą zadań artystycznych.”

Andrzej Wróblewski  
ASP, Kraków, IV r.

Temat: Jak zamierzasz rozwijać i we własnej pracy artystycznej i organizacyjnej wykorzystywać wiadomości i doświadczenia zdobyte na kursie.

„Kurs umocnił we mnie przekonanie o konieczności podjęcia sumiennego studium natury, wypracowania dobrego rysunku. Aby się obronić przed zagubieniem w szczegółach konieczne jest nawiązanie ścisłego kontaktu z robotnikami, częste wśród nich przebywanie, wspólne dyskusje, obserwacja ich pracy, rytmowanie robotnika przy jego warsztacie, rozumowanie się w atmosferę ich pracy, badanie ich reakcji na moją twórczość. Przyczyni się to w dużej mierze do zrozumienia zasad socrealizmu i pozwoli stworzyć dobre dzieło socrealistyczne. Studenci szkół plastycznych powinni nawiązywać stały kontakt z robotnikami.”

Andrzej Błaż  
ASP Warszawa II r.

„My młodzi znajdujemy się w bardzo krytycznej sytuacji. Jesteśmy obciążeni tradycją sztuki burżuazyjnej, w pracowniach musimy stale korzystać z dorobku naszych poprzedników (profesorów), którzy tkwią często jeszcze w dekadentkich kierunkach mieszczańskiej sztuki. Walka z dziedzictwem sztuki burżuazyjnej nie jest łatwa.

Zrozumieliśmy, że musimy grubo zmienić nasze dotychczasowe założenia artystyczne. Zaczęliśmy szukać wskazówek w poprzednich epokach malarstwa, kiedy człowiek nie był

rozową lub zieloną plamką, lecz głównym i zasadniczym problemem. Zainteresowaliśmy się przede wszystkim sztuką Odrodzenia. Liczne dyskusje i referaty kształtowały nasz stosunek do dziedzictwa sztuki.”

Aleksander Mazek  
ASP Warszawa III r.

„Nie jestem ZAMP-owcem. Stałem dotąd na stanowisku wypowiedzianym w dziele sztuki osobistych przeżyć psychicznych. Znalazłem się w rozpaczy. Moje malowanie wydało mi się nieprzydatne dla nikogo, zamknięte w kręgu własnych, intymnych dążeń, nieinteresujących nikogo.

Kurs w Jadwisinie wskazał mi wyjście z ślepego zaułka, w którym się znalazłem. Zrozumiałem dopiero rolę artysty w społeczeństwie, dojrzałem obowiązki i zadania spoczywające na artyście — członku społeczeństwa. Kurs dał mi podstawy ideologiczne i wskazał metodę twórczą — metodę realizmu socjalistycznego. Będę się starał aby sztuka moja tkwiła mocno w życiu. Stanie się to wtedy, gdy wezmę w życie czynny udział.”

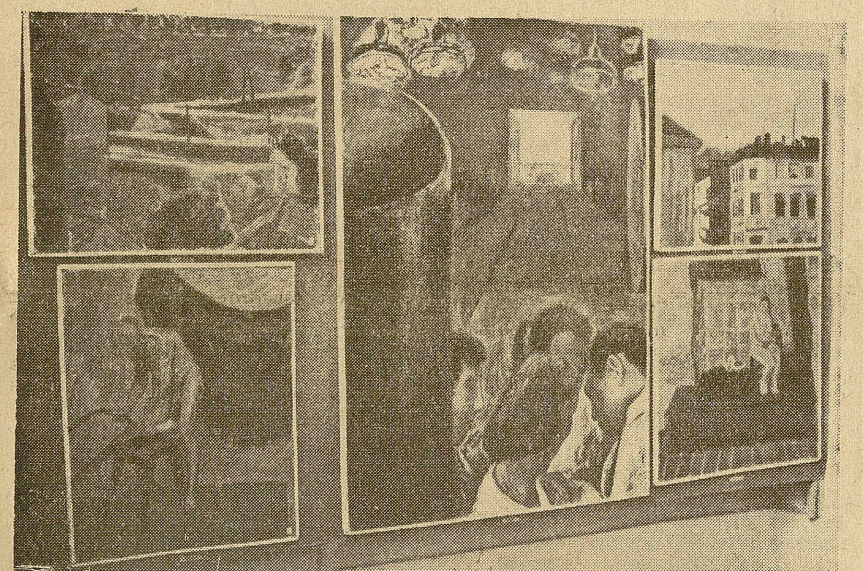
Siennicki Jacek  
ASP W-wa III r.

„Kurs zorganizowany w Jadwisinie przyniósł mi ogromne korzyści. Mimo, że biorę czynny udział w pracach Bratniej Pomocy i Koła Artystycznego nie zlekąłem się nigdy dotychczas z zagadnieniami materializmu historycznego, z estetyką marksistowską i zagadnieniami realizmu socjalistycznego.

Na Festiwalu poznańskim zagadnienie socjalizmu traktowałem jeszcze z dużym sceptycyzmem (wynik wychowania w atmosferze kultu dla zach. europejskiej estetyki burżuazyjnej).

Obecnie po pobycie na kursie rozumiem, że nie ma innej twórczej metody jak realizm socjalistyczny. Na kurs przyjechałem bez odpowiedniego przygotowania, nie skorzystałem więc z niego tak wiele jak koleżdy oczyszczeni w marksizmie-leninizmie. Postanowiłem uzupełnić swoje wiadomości i intensywnie pracować na terenie Koła Artystycznego.”

Chlerowski Józef  
Wrocław WSSP, III r.



Fragment wystawy malarstwa na Festiwalu Poznańskim

LUDWIK FLASZEN

## MORELE NIE WYDAŁY OWOCÓW

Oto typowy schemat inteligenckiego dramatu: osobnik o skłonnościach hamletycznych o nadmiernej świadomości i samowiedzy, usiłując przełamać w sobie niezdolność do czynu i poczucie własnej bezużyteczności. Rzucony między tryby ścierających się sił społecznych odczuwa konieczność opowiedzenia się po którejś ze stron. Decyzji swojej przypisuje znaczenie rozstrzygające nie tylko dla losów własnych ale i... świata — świadomość swojej znikomości kojarzy z wysokim poczuciem misji historycznej. Z tym większą też gorliwością oddaje się manii samoskarżycielskiej. Swoje rozterki wewnętrzne stylizuje na dramat sumienia.

Ten schemat perypetii duchowych inteligenta jest skutkiem jego sytuacji w ustroju kapitalistycznym. Faktyczna jego pozycja przypomina pozycję drobnego wytwórcy lub wręcz proletariusa: wytępienie jest robotnikiem najemnym. Tyle, że zamiast łopaty i młota posługuje się piórem i cyrkiem. Lecz z chlebową łąką go więzy bardziej ściśle: przecież został wynajęty po to, by produkować ideologię, kulturę. Ponieważ zaś inteligent jest robotnikiem od spraw „ducha”, ceni się go wyżej od tkacza lub murarza. Ma dostęp do pańskich salonów, a płaca najmity, jaką otrzymuje, nosi subtelna nazwę „honorarium”. Uprzywilejowane stanowisko, chęć zająć — towarzyskie stwarza mu iluzję przynależności do klasy panującej, przesłaniając prawdę o położeniu faktycznym. To skłania do obrony istniejącego stanu rzeczy, do walki w imię burżuazji. Ale istota sytuacji predysponuje go do myśli o zmianie, do burzarskiego marzycielstwa. Spieczność pozycji intelektualisty w społeczeństwie kapitalistycznym powoduje jego wewnętrzne rozdarcie i rozterki, wzmagające się w okresach szczególnego napięcia walki klasowej.

Było to może najbardziej typowe dla inteligencji Rosji — tego kraju, do którego przesunęło się centrum europejskich ruchów rewolucyjnych. Było typowe — pod wpływem tych samych co w Rosji czynników — dla

inteligencji polskiej Królestwa Kongresowego.

Wśród licznych pozycji prozatorskich z zakresu „obrachunków intelektualnych”, jakie ukazywały się po wojnie, książka W. Melcer'a) zajmuje miejsce szczególne — jako powieść w pewnym sensie historyczna. Siega do lat schyłkowych ubiegłego stulecia, kiedy z całą ostrością zarysował się w Polsce zasadniczy konflikt kapitalizmu. Ruch robotniczy wkroczył w fazę walki zorganizowanej, powstały obiektywne warunki do stosowania w praktyce wskazań socjalizmu naukowego; z drugiej strony wytworzyły się ideologiczne i partyjne sprzymierzonych w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa burżuazji i ziemiaństwa. SDKPiL i Narodowa Demokracja — oto przeciwstawne bieguny zmagających się sił. Przed inteligencją stanął problem wyboru. I wyboru tego dokonali nawet ci, którzy sądzili, że go dokonać nie potrzebuje nie chcą, lub nie potrafili. W czasach, o których traktuje powieść, biera swój początek zasadnicze orientacje światopoglądowe i polityczne inteligencji polskiej.

Kwestie te ujmują „Morele Madzi” w tradycyjnych konwencjach „sumienia”, jak to pierwszy uczynił Zermoski. Podobnie jak u Zermoskiego próba intelektualnego sumienia są malarzyce sadowi w Ciszach, tak u W. Melcer'a nie ma sprawy ściganego rewolucjonisty Balcerzaka. Stąd bohaterowie W. Melcer'a dzielą się na dwie kategorie: na tych „z sumieniem” i tych „bez sumienia”. Oto ich sylwetki:

Anna jest piękną i nieczulą, obce jej są jakiegokolwiek sprawy poza własną osobą, pogardza mężczyznami, od których prócz uwielbienia domaga się pieniędzy. Za wytworna esteta, pogrążona w kontemplacji własnej urody, wyraża się o Balcerzaku z przejęciem nie większym, niż o niemodnej już sukni lub złamanej spinaczce do włosów. Jej narzeczony Jan, utalentowany muzyk, to młodzieniec dość lekkomyślny i podobnie jak Anna zapatrzonny w siebie. Wprawdzie jemu wolno, bo jest artystą... Ale Bal-

cerzakowi, — w którego imieniu zwrócić się do pomocy — odmawia noclegu. Rozumiemy: ta para to inteligenci bez sumienia. Przypuszczalne konsekwencje polityczne? Chyba jakaś prawicowa partia — może endecja? — choć Jan nadal będzie zapewniał, że jest szczerym „demokratą” i że nauka i sztuka wymagają bezinteresownego kapitału, stojącego ponad doroznymi sporami politycznymi... Głoszony w dobrej wierze mit apolityczności kultury na usługach obozu o niedużych znaczących dążnościach politycznych.

Aniela zdaje się być prostym przeciwnikiem swojej siostry i szwagra. Jest pełną współzucia dla ludzkiego cierpienia, a choć ponosiła ofiary odmiennego rodzaju, wizerunek jej chrześcijański każe jej kolportować religijny bibułę. Jest religijna. Zio stanowi dla niej konieczność metafizyczna. Walka z nim jest więc daremny wysiłek. Pozostaje pokora i — ucieczka. Aniela wstępuje do klasztoru. Przypuszczalne konsekwencje polityczne? Czy stanowisko sfer klerikałnych wobec rewolucji r. 1905 będzie także stanowiskiem Anieli?

Podobnie czuła na ludzkie cierpienie jest Elżbieta, choć uczucia swoje maskuje obojętnością naukowca, parującego na wszystko jako przedmiot eksperymentów przyrodniczych. Zio posiada dla niej formę bardziej uchwytą; nie ma przyczyn metafizycznych, lecz biologiczne. Nieszczęście trapiące ludzkość to dolegliwości fizyczne, choroby, którym jedynie nauka może zaradzić. Elżbieta nie rozumie jednak, że rozwój nauki i skala jej społecznego zastosowania jest funkcją warunków zgola innych, niż biologiczne. Jeżeli zatem polepszenie dołi człowieka zależy bezpośrednio od zdobyczy laboratoriów naukowych, czyż nie jest rzeczą obecną, w czym i jakim laboratorium pracujemy? Znowu mi! nauki apolitycznej. Liberalne złudzenia zapatrzonego w swój warsztat inteligenta. Z tego stanowiąca walka i los Balcerzaka wydają się czymś zbytecznym lub wręcz bezsensownym. O szczęściu człowieka rozstrzyga bowiem

uczony, nie rewolucjonista. Tylko że praca uczonego nie zawsze osiąga należyte rezultaty. Wiele rozczarowanie.

I wreszcie — Zofia. Typ emocjonalny, wrażliwa na ludzką niedolę, jak wszyscy prometejscy bohaterowie Zermoskiego razem wzięci: „Wzywała do siebie wszystkich, którzy cierpieli, czuła ich ból, ich słone łzy i pot jeszcze bardziej słony, ich krwawe rany, czuła nieznosny ciężar, jaki dźwigała. Zio ma dla niej źródło konkretne: porządek społeczny. Ale porządek społeczny można zmienić: Zofia zbliża się do partii proletariackiej (SDKPiL?), pomaga rewolucjonistom, kolportuje nielegalną literaturę, organizuje spóldzielnie. Dla niej jedyną sprawą Balcerzaka jest sprawa najbardziej bliska, niemal intymna. W niej jedynym mechanizmem inteligenckiego sumienia działa prawidłowo i niezawodnie, sygnalizując wysokie ciśnienie społecznego prometeizmu. Ciśnienie to jednak przewyższało aktualne możliwości urzeczywistnienia. Judym w spódnicy, usiłując zrobić rewolucję, rzuca się do studni.

Bilans „inteligentnych rozrachunków” wypadł ujemnie. Anna i Jan pedzić będą syty żywot burżuazji; Aniela, wstępuje do klasztoru, wycofała się ze spraw tego świata; Elżbieta przybrała zrezygnowaną postawę rozczarowanego humanitaryzmu; Zofia załamała się, popielając samobójstwo. Powieść kończy się zdaniem: „Przecież z moreli Madzi ani jedna nie wydała w tym roku owocu”. Co oznacza: wysiłki inteligentki okazały się daremne. Sens utworu sprowadzałby się więc do oskarżenia: jesteście oportunistami lub ludźmi słabymi, niezdolnymi do twórczego działania. Niestety, konstytucja artystyczna na książkę zdaje się sugerować co innego.

Zwróćmy uwagę na pewien znamienity rys formalny: w powieści przeważa monolog lub typ mowy pozornie zależnej. A zatem wiedza autora o świecie identyfikuje się z wiedzą postaci; inaczej: na świat zmuszeni jesteśmy patrzeć oczyma bohaterów. Nie wiemy, jak wyglądał Paryż naprawdę, wiemy tylko, co myślała o nim i czuła Elżbieta. Nie znamy Anieli prawdziwiej znamy tylko jej własne sądy o sobie oraz sądy innych. Postaci i rzeczy są jak zwierciadła ustawione na przeciw siebie, które wzajemnie zwielokrotniają swoje odbicia. Wytwarza się błędne koło widzeń i ocen.

Ponieważ akcja ukazana jest od wnętrza bohaterów, braku obiektywnej skali porównawczej, która by wyznaczała istotny wymiar dramatu. To już nie bohaterowie wybiorczy mają własne konflikty i znaczenie swoich decyzji i postępów, to wyobryzma je autorka. Nie dość na tym. Wiemy o bohaterach, że są — może z wyjątkiem Anny — subiektywnie uczuciwi. Ale są krótkowzroczni, co jest oczywiście historycznie usprawiedliwione. Autorka jednak nie demaskuje ich krótkowzroczności. Skąd więc mamy wiedzieć, że są obiektywnie nie w porządku, skoro pozostają w zaccarowanym kręgu ich własnych sądów o sobie i świecie? Tak oskarżenie przeistacza się niepostrzeżenie w obronę. Bo trzeba rozgrzeszyć ludzi, którzy są uczuciwi i tragiczni.

Ukazanie postaci od ich strony wewnętrznej grozi nie tylko zafałszowaniem historycznych proporcji ich dramatu, ale postawieniem go całkowicie poza historią, uczynieniem zeń konfliktu czysto osobistego, prywatnego, pozbawionego siły typizującej. Stąd zaburzenia w motywacji. Skutki są wprawdzie oczekiwane, niemniej paradoksalne. Rzućmy się wątkom motywacyjnym przychodzi z pomocą — fizjologia kobiet. Arystokratyzm i wielkopańskie uroczyszczenia Anny — to faneberie wyniosłej „frigiditatis”.

Rewolucyjny entuzjazm i wzloty prometejskie Zofii — to wysublimowane wyładowanie niezapokojonego w małżeństwie popędu płciowego oraz instynktu macierzyńskiego. Rozczarowany humanitaryzm Elżbiety — to po prostu czułe serce kobiety, miotane między litością do cierpienia a wstrętem do jego szpetoty i t.d. Na karb kobiecej niekonsekwencji trzeba również złożyć sprzeczności w postępowaniu Zofii. Ta rewolucyjna działaczka utrzymuje stosunki towarzyskie z carskimi dostojnikami, a z oficjalną kochanką jednego z nich łączy ją coś w rodzaju przyjaźni, opartej na zasadzie kobiecej solidarności... „Kaźda z nas wyżywa się przeciw innej” — powiada Elżbieta. I niestety ma rację.

Fizjologia zamiast praw społecznych, temperament zamiast społecznej typowości — oto pierwszy aspekt natury.

Książka ma jednak ambicję oddania rysów charakterystycznych epoki.

Słowem, ambicje realistyczne. Wynikałoby to z przedmowy, która świadczy o szczegółowych studiach autorki nad okresem, a z której dowiadujemy się m. in., że wszystkie postaci są autentyczne, że na autentycznych danych oparte są opisy mieszkani i Instytutu Pasteura, że nawet „suknie autentyczne noszone (były) przez opisywane osoby”. Lecz jeśli ludzie przystają być reprezentantami czasu, nie pomagają ani autentyczne suknie, ani pluszowe portiere, ani rzeczywiste postaci, ani nawet — frazeologia polityczna, jaką od czasu do czasu posługują się niektórzy bohaterowie. Coż bowiem z t. zw. obrazu epoki pozostaje? Realia. Masa szczegółów, rejestr faktów i fakcików, chaos gazetowych wzmianek o wydarzeniach — nic więcej. Tak sprządana „epoka” przypomina gabinet osobliwości, pełen starożytnych przedmiotów lub co najwyżej zdemolowane muzeum, w którym porozurkano ekspozycje.

Inwentarz zamiast ciągów przyczynowych, suma zamiast syntezy, fotografia zamiast obrazu — oto drugi aspekt naturalizmu.

Nieprzekonywujący jest obraz epoki, pozbawiony swoich typowych ludzi. Nieprzekonywujący są ludzie, którzy nie mogą się wylegitymować paszportem swojego czasu. I choćby Zofia posługiwała się terminologią najbardziej polityczną, a piękna i nieczuła Anna włożyła najautentyczniejszą suknię, „Morele Madzi” nie mogłyby pretendować do miana powieści realistycznej. Bo realizm nie jest ani charakterologią, ani faktografią, lecz sztuką syntez i uogólnień. A słoń pod mikroskopem niewiele różni się od ameby.

P. S. Na str. 175 „Moreli Madzi” czytamy: „Kiedyś dorwał się do „Horzyskiego” z wytwornym, piękno-

głosym Józefem Śliwickim, w roli hamletyzującego młodzieńca — i długie miesiące chodził w jarminie czarujących wierszy”. Gwoli ścisłości faktycznej stwierdzić należy, iż „Horzyski” — w przeciwieństwie do większości dramatów Słowackiego pisany nie wierszem, lecz prozą. Wątpliwe więc, czy Anatol Włodzimierz mógł „chodzić w jarminie czarujących wierszy”.

Ludwik Flaszen

\*) W. Melcer: „Morele Madzi” Sp. Wyd. „Książka”. Warszawa 1948, str. 254.



LESZEK GOLIŃSKI

# WALKA O JAKOŚĆ RUCHU ŚWIETLICOWEGO

Na terenie Dolnego Śląska istnieje w tej chwili 605 świetlic zarejestrowanych, rozsypanych po wszystkich, najbardziej nieraz zapadłych wsiach. Rok temu było ich tylko 233, za rok będzie 800.

Na Dolnym Śląsku istnieje w tej chwili 337 bibliotek wiejskich. Rok temu było ich zaledwie 72, za rok będzie 600.

Na wsi dolnośląskiej istnieje w tej chwili 323 zespołów artystycznych, zarówno teatralnych, jak chórów i tanecznych. Rok temu było ich tylko 14, za rok będzie 373.

Ilość kursów dla analfabetów, zorganizowanych przez ZSCh i pozostających pod jego opieką wzrosła z 379 do 400, powstanie 320 zespołów Gazetki Ściennej, 60 zespołów Wszechnicy Radiowej, 600 zespołów oświaty rolniczej.

Wyniki i osiągnięcia poważne. Rok 1950 przyniósł jednak nową koncepcję na odcinku pracy kulturalno-oświatowej na wsi: plany, które dotychczas stawiały na ilość świetlic, zespołów artystycznych, kursów dla analfabetów — iść teraz będą przede wszystkim po linii j a k o ś ć i.

Okazało się bowiem, że wiele zarejestrowanych świetlic nie wykazuje należytej działalności, lub stosuje zły, fałszywy styl pracy. Okazało się, że zespoły artystyczne zaopatrywane były w zły materiał, albo nie zaopatrywane wcale.

Na wsi szerzyło się coraz powszechniej zrozumienie dla roli świetlic. Wiele niejednokrotnie dalece czekała na otwarcie świetlicy, a nie mogąc się doczekać, sama, własnymi siłami stawiała do odbudowy budynków świetlicowych. 60 procent wszystkich obiektów, nadających się na świetlice wiejskie, zostało już w województwie wrocławskim oddanych do użytku na cele świetlicowe.

W powiecie świdnickim wydatkowane na remonty świetlic gromadzkich z funduszy gminnych 1.500.000 zł. Gminy Piszno, Stanowice, Lutomia zamiast czekać na inwestycje, same zorganizowały szereg imprez i z zebranych funduszy w kwocie 500.000 zł przystąpiły do remontów swoich świetlic.

W Ludwikowicach zespół świetlicowy dał bezpłatne dniówki przy remoncie domu ludowego na sumę wartości ogólnej ponad 200.000 zł i zaoszczędził około 100.000 zł na

kosztorysie malarskim, przeprowadzając roboty malarskie własnymi siłami.

Śladami Ludwikowic poszła gromada Pawłów w pow. trzebnickim, remontując własnymi siłami świetlicę i oszczędzając w ten sposób ćwierć miliona złotych.

Wszystkie te fakty świadczą o potrzebie świetlicy.

Do świetlic wprowadza się nowy styl pracy. 57 etatowych kierowników świetlic w terenie, kilkudziesięciu słuchaczy Ośrodka Szkoleniowego we Wrocławiu, 240 zakontraktowanych nauczycieli szkół podstawowych, pracujących na kursach dla zwalczania analfabetyzmu — wszystko to gwarantuje, że nie powtórzą się dawne błędy w pracy świetlicowej, że praca ta przybierze teraz zupełnie inne formy.

\*

Ale, aby została ona uwieńczona pełnym sukcesem, siły samej wsi okazały się, przynajmniej na bieżącym etapie, za słabe.

Bo co pomoże szkolenie i doszkalanie nowych etatowych kadr, coż praca instruktorów, którzy z braku środków lokomocji nie mogą często dotrzeć do najludniejszych wsi, coż nawet znaczne fundusze, łożone na ten cel — skoro krzewić się będzie wciąż jeszcze pojęcie takiego społecznikostwa, łązawo-sentymentalnej ludowszczyzny, skoro sukmana i rogatywka krakowska są sroczymi piórami przestroni właściwy cel istnienia świetlic, właściwy ich sens?

Nie bądnymy goślośniami: czy może być inaczej, gdy zarówno w ośrodku szkoleniowym, znajdującym się we Wrocławiu, a jednym z największych w Polsce, bo grupującym około 500 słuchaczy-aktywistów ZSCh, jak w najbardziej produkcyjnych świetlicach terenu — tuteż się ciągle i zapamiętały tylko jedną sztuczkę świetlicową — „Wesele Jagny”? Skoro jedyny teatr kukielkowy wiejski w Stoszowcu (pow. ząbkowski) skarży się na brak repertuaru i materiału, skoro w świetlicach — nawet tych najlepszych — ciągle jeszcze zwisają ze ścian poskręcane, drobnomieszczańskie bibułki, biało-czerwone albo zielone, a na ścianach straszą potworne oleodruki.

Czy zapał szczerých społeczników, doświadczenie wykwalifikowanych kadr, czy miliony złotych nie są tu wydawane na darmo, na

niewłaściwy zupełnie cel, czy praca i fundusze nie toną w ogromnym bagnie mieszczaństwa i tandety, które zalewa polską wieś na niektórych rejonach?

Co grają wiejskie zespoły świetlicowe? Jak się przedstawia strona dekoracyjna świetlic? Z jakich książek składają się i jak funkcjonują biblioteki wiejskie? Czy wyposażone są w radiodiodniarki?

Repertuar teatrów świetlicowych jest więcej, niż ubogi. Festiwal Sztuk Rosyjskich i Radzieckich w listopadzie ub. r. był potężnym listykiem energii i doprowadził do znacznego ożywienia życia świetlicowego i udrożenia stosunków. Dolny Śląsk nie pozostał w tyle i pochłubił się może pięknymi wynikami indywidualnymi: tancerze ze Stobrawy, zespół teatralny z Kraszowic, ze Smarchowic Wielkich, z Dolnika zdobyły nagrody w eliminacjach wojewódzkich. Chór z Bąkowiec i zespół teatralny z Mirska zajęły pierwsze miejsca w Warszawie.

Ale repertuar sztuk radzieckich, radziecka pieśń masowa i kilka ludowych piosenek polskich, przetransponowanych na chór, nie wystarcza.

Jeszcze gorzej przedstawia strona dekoracyjna świetlic. Naturalizm najgorszego gatunku krzewi się jeszcze, przy tym niedostatek w umeblovaniu.

Biblioteki wiejskie szybko rosną w ilość i jakość książek. Nie wszystkie jednak oczyszczone są ze szkodliwej, sensacyjnej lub wręcz brukowej literatury, a cenne książki nie wykazują śladów zniszczenia, tak, jakby ich nikt nie czytał. Dlaczego tak się dzieje?

Księgozbiory wiejskie przechowywane są powszechnie z braku odpowiednich pomieszczeń w domach prywatnych bibliotekarzy. Książki nie są oprawione w sztywne okładki, a nie oprawionych regulamin nie pozwala pożyczać, więc nie pożyczają się ich w ogóle. Biblioteki są skape, liczą przeciętnie 80—83 książki; spółdzielnie gminne „Samopomocy Chłopskiej” nie czynią niczego, aby te księgozbiory powiększyć i urozmaicić.

Przy tym na dobór książek należałoby zwracać więcej uwagi; innej książki potrzeba dla wsi, gdzie dużo jest analfabetów, gdzie mieszkają głównie repatrianci ze wschodu, stojący intelektualnie znacznie niżej od chłopów z poznajskiego czy opolan, którym trzeba już lektury innej, bardziej odpowiadającej ich zamięłwianom. Natomiast zupełnie nie na miejscu są np. powieści Brezy czy nowele Iwaszkiewicza (ze względu na wysokość, za trudny dla chłopów poziom ich prozy).

Nie uwzględnia się natomiast w dostatecznej mierze literatury fachej i ideologicznej.

Radiofonizacja świetlic wiejskich poczyniła duże postępy, ale Społeczny Komitet Radiofonizacji Kraju, przynajmniej na terenie

Dolnego Śląska, zwraca znacznie większą uwagę na radiofonizację miast i miasteczek, niż wsi. Radiodiodniarki, rozsyłane po powiatach, na wieś, w dużym procencie zelektryfikowaną nie trafiają i wracają do miast, radioweszy zaś nie wszędzie rozwiązują sprawę, przy czym rozdział ich powinien uwzględnić w pierwszym rzędzie wsie bardziej upośleczone, zakładające spółdzielnie produkcyjne bądź też już przekształcone w spółdzielnie.

\*

Wysnuć stąd można konkretne wnioski:

Wsi potrzebna jest pomoc literatów. Powinny powstać polskie jednoaktówki dla teatrów świetlicowych, odznaczające się wszelkimi walorami artystycznymi i ideologicznymi. Tematyki chyba nie brak. Ustać musi dotychczasowy stan, kiedy na scenę większą albo trafiały smirny, albo nieaktualne i bzdurne przedwojenne komedie, albo wręcz nieuczuciowe sztuki, albo wręcz tuczono jedną ośrodką szkoleniową we Wrocławiu chórem recytują całe „Wesele Jagny”; każde dziecko wiejskie zna je już na pamięć.

Jednoaktówki zastępowano w braku innego materiału inscenizacjami, niezupełnie trafnymi, jak n. p. inscenizacja „Świętani” z wszelkimi detalami, dotyczącymi bohaterki ballady. Jakże wypaczony obraz Mickiewicza musiał pozostawać na wsi, uraczonej taką parafrazą poety!

Wsi potrzebna jest pomoc plastyków, ale nie taka, jak to zdarzyło się również w pewnym mieście, gdzie uczniowie szkoły plastycznej na koszt ZSCh dla wzorcowej świetlicy sfabrykowali dekoracje — skrajnie formalistyczne.

Plastyki winni pomóc zespołom kukielkowym, powinni zająć się wzorcową dekoracją świetlic, powinni zająć się wzorcowymi dekoracjami do sztuk świetlicowych: projekty tych dekoracji powinny znajdować się już w wydanych drukim tekstach sztuk.

Wszystkie te wnioski nasuwają się na podstawie obserwacji jednego tylko rejonu — Dolnego Śląska. Niewątpliwie, z takimi czy innymi modyfikacjami — są te spostrzeżenia, aktualne także i na innych terenach kraju. Specyficzne cechy mieszkańców wsi dolnośląskiej, ich różne pochodzenie etnograficzne — zanikły już: wieś ta prawie niczym nie różni się od wsi w pozostałych rejonach kraju, wyjąwszy nieco wyższą kulturę rolną, znaną z tego województwa.

Pomoc, udzielona przez miasto, przez literatów, muzyków, plastyków, przez twórców zjawisk kulturalnych i organizatorów życia kulturalnego wsi wyrzucił muś zabawny skutek. Walka jakoś w stylu pracy świetlicowej ZSCh uzależniona jest od tej pomocy w bezpośredniej formie.

Leszek Goliński

## KRONIKA WYDAWNICZA

Wśród naszych uspołecznionych, czołowych wydawnictw „Czytelnik” wykazał chyba największą pomysłowość w dziedzinie tworzenia nowych form masowego upowszechniania książki, osiągając przy tym bardzo poważne rezultaty.

Nie wszystkie te formy w pełni, jak to się mówi „chwytyły”, wszystkie jednak zasługują na uwagę, spełniły bowiem w mniejszym lub większym zakresie przewidywane zadania, dając Instytutowi Wydawniczemu „Czytelnik” duże doświadczenie, umożliwiające krytyczną ocenę dotychczasowych prób i szukanie nowych właściwych dróg upowszechniania książki.

Przypomnijmy sobie pokrótce wydawnictwa „Czytelnika” z ubiegłych lat obliczone na masowego czytelnika, a więc 39 zeszytów „Biblioteki Romantów i Powieści”, wśród których znajdujemy dzieła wybitnych autorów polskich i obcych; szereg cykli „Wiedzy Powszechnej” składających się z wielu zeszytów w cenie kilkudziesięciu złotych i przynoszących czytelnikom popularny wykład z różnych dziedzin nauki; dalej 12 tomików w cenie 15 zł. każdy Biblioteczki Niepróżniącego Proźniowania „Omnibus”, 12 tomów Biblioteki w Prenumeracie (200 zł. tom), książki Klubowe „Odrodzenia”, Dobrej Książki, „Dom i Świat”.

Wspomnijmy jeszcze o utworzonej przez „Czytelnika” nowej formie wypożyczalni książek, jaką jest „Tygodniowa Biblioteka Obiegowa”, która jest kombinowaną formą wypożyczalni połączonej ze sprzedażą ratną.

W akcji tej dającej dobre rezultaty uruchomiono dotychczas 240 tys. książek wśród 190.000 czytelników. Poczynania te wykazały, że czytelnicy najchętniej nabywają wydawnictwa posiadające pełną formę książki, przy całkowitym powrocie Klubów, „Biblioteki w Prenumeracie”. Stąd mniejsze powodzenie „Omnibus” i „Biblioteki Romantów i Powieści”.

„Czytelnik” wyciągnął z tego doświadczenia odpowiednie wnioski i zapoczątkował z końcem ub. roku masowe wydawnictwo tablic, dobrych periodycznie wydawanych książek w cenie sto złotych za tom.

W ramach tzw. „Stuzłotowej Biblioteki Czytelnika” ukazuje się co miesiąc pełnowartościowa książka 200 — 300 stronowa, na razie w nakładzie ok. 20 tys. egzemplarzy. Książki są to wygodnego formatu (13,5 x 18,5 cm.) drukowane na dobrym papierze, mają jednolitą, estetyczną okładkę — są tanie i ładne.

Biblioteka ta dostarcza czytelnikom powieści współczesne i dawne, nowele, wydawnictwa popularno-naukowe i praktyczne podręczniki. Dotychczas ukazały się następujące tomy: J. Kraszewskiego „Czarna Perleka”, J. Kurczaba „Niczujak” i H. Leberknehta „Światła w Koord” (tłum. z języka ros.). Dwie ostatnio wymienione powieści osnute są na tle życia i urzędniczego socjalistycznych form życia społecznego.

W najbliższym czasie ukaza się dalsze tomy z tej serii — G. Guli „Dobre Miasto” i K. Paustowskiego „Opowieść o lasach”.

(Wys)

## W numerze tygodnika „Wies” z dnia 19 lutego 1950 r.

Bolesław Bierut — Fragment przemówienia. Jan Aleksander Król — Prezydent Polski Ludowej. Franciszek Penikowski — Dziwczynka z gołębiami. Stanisław Skrzyszewski — Szkolnictwo wyższe i nauka. Stanisław Arnold — Pierwszy Kongres Nauki Polskiej. Leon Gomolicki — Puszkinologia marksistowska. Maria Zmigrodzka — Książki dla wszystkich. Samuel Sandler — „Czyściec bez przewodnika”. Borys Rurykow — Kalinin o zagadnieniach literatury. Tadeusz Różewicz — W ciszy tak drogo okupionej. Klemens Olekski — W styczniu 1945 r. Ośiem Punktów (Kulturbundu). Zofia Rzeplińska — Nowe Niemcy. J. Becher — Sztuka i naród. Andrzej Skupień Florek Dobrodziejstwo, którego wieś nie znała. E. Martuszewski — Bogaty plan. Mirek Marian — Krzyż Grunwaldu. Fren — O pewnym dziele daramym stanku. A Wera — Słabiej i mocniej. Plan wydawniczy PIW, 14 ilustracji, 8 stron.

MACIEJ KOLIBA

## PISARZ Z POMOCĄ DANKOWICOM

„Mówiłem już, że walka klasowa toczy się i w samych spółdzielniach z wpływami, z przenikaniem bogactwa wiejskiego. Toczy się ona wokół takich zagadnień, jak wkłady inwentarsowe i dniówki obrachunkowe. Ale są i inne formy. Mamy wręcz fakty terroru, podpałów, grózb i szeptanej propagandy. I trzeba stwierdzić, że niektóre nasze spółdzielnie produkcyjne nie są nastawione ofensywnie wobec bogactwa wiejskiego, że gdzieś niedziele przemysła się oportunistycznie w stosunku do bogactwa wiejskiego.

„Ty mnie nie ruszaj i ja ciebie nie będę ruszał”. Ty mnie nie szkodzi i ja tobie nie będę szkodził. Jasne, że bogactwo szkodzi — niekiedy w formach nieuchwytnych, cichych ale szkodliwych stale”.

Przytoczyliśmy powyższy cytat z referatu Romana Zambrowskiego, wygłoszonego na naradzie sekretarzy Komitetów Wojewódzkich i Powiatowych PZPR w d. 31 stycznia 1950 roku. Celem narady było zapoznanie aktywów partyjnego z sytuacją gospodarczą i polityczną istniejącą już w spółdzielni produkcyjnych. Dokładna analiza tej sytuacji dokonana przez Biuro Organizacyjne KC PZPR charakteryzuje te spółdzielnie, skupiając uwagę na ich osiągnięciach, wnioskując równocześnie w ich „słabości i niedomaganiach” pociągając do ich przewartościowania.

Faktem jest, że poważna ilość spółdzielni potrafiła pracę u siebie zorganizować wzorowo. Faktem jest jednak, że część ich boryka się z poważnymi trudnościami. Z materiałów statystycznych wynika, że słabo w nich przebiega deklarowanie wkładów inwentarsowych, że często nieprawidłowo gospodarują kredytami i najpoważniejszy zarzut — nie wszyscy członkowie tych spółdzielni są czynnie, roboczo zainteresowani w czynowaniu nakreślonych przez zarządy spółdzielni i ogólne zabrania — planów.

Dane statystyczne mówią suchą, obiektywną prawdę. Poza nim kryje się jednak życie tych pierwszych spółdzielni, które — jak mówi Roman Zambrowski — „nie powstały w jakichś szczególnych wsiach, w jakichś szczególnie sprzyjających warunkach”. Odsłonić to życie, pokazać jego konflikty, pokazać ludzi, którzy je tworzą — oto pomoc, jaką w dzieło budowy socjalizmu na wsi może wnieść pisarz. Tę pomoc zadeklarował Witold Zaleski. Jego cykl reportaży drukowanych w styczniowych numerach „Odrodzenia”, „Traktory zdobywają wiosnę” to opowieść o spółdzielni produkcyjnej w Dankowicach w powiecie Białym Krakowskim. Jest to w naszej bieżącej literaturze pierwsza ambitniejsza próba zmierzania się z rzeczywistością co dopiero narastająca, co dopiero układająca się w uchwytne dla obserwatora kształty.

Pisarz nie wybrał efektywnego terenu. Poszedł tam, gdzie toczy się trudna walka. Dankowice to jedna z tych spółdzielni, która w ogólnym porządku dane statystyczne mogła w listopadzie ubiegłego roku budzić poważne zaniepokojenie. Liczyła 64 członków, wśród nich 22 miało konie, ale z dniówek obrachunkowych wynikało, że tylko kilkunastu chłopów pracuje „na spółdzielnię” a koni zadeklarowano zaledwie cztery. Czyżby więc spółdzielnia „dekretowana”, czyżby chłop — jej organizator nie rozumieł, czy nie odczuwał jej potrzeby? Tu właśnie trzeba było ocenić ów pisarza, który by sprawę potrafił rozgrześć klasowo, który by w istniejących jeszcze niedomaganiach dziesiątków Dankowic umiał ująć i literacko postawić toczącą się walkę klasową na wsi, na jej najbardziej zaś palnym odcinku — spółdzielni produkcyjnej.

To ambitne zadanie postawił sobie autor reportaży „Traktory zdobywają wiosnę”. Fakty przez niego wybrane i przedstawione konstruuje się w obraz dramatycznych zmagających kierującego dankowicką spółdzielnią aktywów, zmagających o przekształcenie siebie, o przekształcenie wszystkich członków spółdzielni na ludzi, którzy myślą, czują, działają według porządku, jakiego wyznacza im nowe życie. Nie łatwo przychodzi chłopu opowiadanie nowych form pracy, nie łatwo doprowadzanie do wspólnego społecznego posiadania. W pomysłowej atmosferze przed wejściem do starej nawiły przy ostrzejszej świadomości klasowej szybciej kruszy się przyrost do prywatnej własności. Czy pomysłowy jest jednak w Dankowicach klimat dla przyspieszenia tych procesów. Zaleski sygnalizuje nieuchwytnie narastający opór. Wido-nyim jego znakiem jest bierność znacznej części członków spółdzielni, jest nieadekwatność przez zamożniejszych — koni i paszy — i to w momencie dla losów spółdzielni rozstrzygającym. Spółdzielnia stoi przed wykonaniem orki jesiennej. Ma do dyspozycji tylko jeden traktor, który w rozległej gliniastej ziemi nie może wydajnie pracować. Potrzeba koni, a zadeklarowanych jest tylko cztery — na 60 ha do żańczenia i przy perspektywie przymrozków. Sytuacja

dla kierownictwa ciężka. To pierwsza próba wykonania planu, jeżeli się nie uda, to przedpadnie u ogółu wiara w wyższość zespołowego gospodarowania — spółdzielnia grozi rozpływka. Wykonanie orki to okrzepienie spółdzielni. Te świadomości posiada Niedźwiedź i Adamaszek, drobnorolny chłop, dawny przywódca biedoty wiejskiej, wyrosł w tradycjach kapepowskich — dziś organizatorzy i kierownicy spółdzielni.

Słusznie Zaleski skupił swoją uwagę na tym kryzysowym dla spółdzielni momencie. Tylko w takiej sytuacji udało mu się wydobyc z portretowanych przez siebie postaci, w pierwszym rzędzie Niedźwiedzia — jego hart, twardość i klasową przenikliwość. Najważniejsze jednak, że dało mu to okazję do wykrycia w Niedźwiedziu głębokiego poczucia odpowiedzialności za sprawę spółdzielni — odpowiedzialności społecznej. Aktywności spółdzielni wle o co walka idzie, przeciw komu jest ona wymierzona.

Spółdzielnia obejmuje nie całą gromadę. Są poza nią jej śmiertelni wrogowie — grupa kulacka, są średniorolni a także reszka obaleniuchów i pozostających nadal pod wpływem „przykościelnego placu” — drobnorolnych. Przecież innych i trzecich należy zdobyć, przekonać. O ten cel rozszerza się poczucie odpowiedzialności Niedźwiedzia. Można go osiągnąć przez dobre, wzorowe postawienie gospodarzy zespołowej. Każde jej niedociągnięcie to klęska, to cofnięcie tej właśnie dużej sprawy, sprawy umasowienia ruchu spółdzielni produkcyjnych.

W jaki sposób autor odsłania ple-tyczkę się w Dankowicach trudności? Czy wprowadza w opowiadanie kulacką wprost, jako wroga spółdzielni? Nie. Odkrywa jego działanie poprzez pokazanie rozkładowych ry-ów na kilku członkach, na rozpiętym Szymie, na obstawionym „kuzynowskim” zakazami Madze, czy na Tatoniu przekupującym zyskowną u Rychty robotę. Walka toczy się skryta, ale ślady jej są widoczne.

Członkowie spółdzielni dankowickiej to w większości drobnorolni chłopcy, poza nimi kilku dachowców fornali nadzielonych z folwarcznej resztówki i kilku średniaków. Jasne, że wkład inwentarsowy pierwszych i innych nie mógł być wielki. Na mocniejsze wsparcie spółdzielni liczyło się od strony średniaków, ale ci ciągle jeszcze zajmowali postawę wycofującą. Ich przede wszystkim obawiająca kulacy. Atak jest koncentryczny: przez odcaglanie od spółdzielni konne siły roboce, przez replewanie i obalamucanie członków, przez wścawanie w chwiejnych jału wątpienia. Na skutek takiej akcji średniacy nie deklarują koni tak gwałtownie potrzebnych do przeprowadzenia orki. Jeżeli się nie przewyżyci biernością, jeżeli się nie zdemaskuje obozu wroga sprawie spółdzielni, jeżeli się nie ujawni przed wszystkimi zainteresowanymi jego taktyki — plan grozi zawaleniem. Siłą Niedźwiedzia, Adamaszka. Iskrowej jest to, że są świadomi działania wroga klasowego, jego metod i taktyki. To pozwala im na zajęcie skutecznej postawy ofensywnej wobec dankowickich bogaczy, pozwala pokrzyżować ich plany, wy-rwać spod ich wpływu obalamucanych ludzi. Po zwołanym zebraniu, które było przełomowe dla sprawy, Niedźwiedź sumuje wyniki: „W niedzielę pojadą trzy pary orań, we wtorek cztery i dwa traktory... Teraz to poradzimy... Ten krok który postąpił dzisiaj był specjalnie trudny. Zepchnęli wroga wydarli mu kilku ludzi, ugodziłi go celnie — Zebrania trzeba częściej organizować — wnioskuje — Od ludzi się nie odrywać...”.

Doniosłe jest znaczenie reportaży Zaleskiego ze względu na ich funkcję społeczną. Stanowią one dużą wartość mobilizacyjną dla czytelnika wiejskiego, pokazują aktywowi robotnicznemu jak konieczna jest jego stała czynna pomoc dla dziesiątków spółdzielni takich jak Dankowice. Z pomocą Dankowicom powinni przyjść i pracownicy kulturalni. Na razie można by pomyśleć o przerobieniu reportaży Zaleskiego na sztukę, dla teatrów amatorskich: wiejskich i robotniczych. To byłoby celne narzędzie mobilizowania sił dla sprawy spółdzielni.

## SPROSTOWANIE

W artykule moim p.t. „Zagadnienie urbanizacji w Polsce” zamieszczonym w numerze „Wsi” z dnia 5.II. 1950 r., wkładły się następujące błędy drukarskie:

W szpalcie drugiej ustęp pierwszy:

Zamiast: nieekonomicznego przemienienia funkcji... powinno być: nieekonomicznego przemieszczenia funkcji...

Ustęp ostatni:  
Zamiast: ...znaczenie warunków materialnych... powinno być: znaczenie warunków naturalnych...

Bolesław Malisz

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL  
Redaguje Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Światynkiewicza Nr. 7.

Tel. Red. Nacz. 812/1. Tel. Redakcji 8-00 61 do 6 wewnątrz 23 i 76.  
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OSW. „C Z Y T E L N I K”  
REDAKCJA NIE ZAMÓWIŁYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.  
Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16

W a r u n k i p r e n u m e r a t y :  
miesięcznie 80, — zł; kwartalnie 240, — zł; półrocznie 480, — zł; rocznie 960, — zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6841 z zaznaczeniem „za tytuł „Wies”.

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik” Marszałkowska 3/5.  
B-98871

## KOMUNIKAT

Przywiązując szczególną wagę do szkolnego nauczania historii i dążąc do stworzenia marksistowskiego podręcznika historii Polski, Ministerstwo Oświaty rozpisał niniejszym konkurs

na napisanie podręcznika historii Polski (z uwzględnieniem zasadniczych wiadomości z historii powszechnej) dla klasy IV szkoły podstawowej (dzieci w wieku 10—11 lat).

Warunki konkursu:

1) Konkurs jest otwarty, udział w nim mogą wziąć zarówno poszczególnie osoby jak i zespoły autorskie czy zakłady naukowe.

2) Termin składania maszynopisów ustala się na dzień 1.VI.1950 r. Maszynopisy w trzech jednobrzmiących egzemplarzach ewentualnie czytelny rękopis nadesłać należy pod adresem: Państwowe Zakłady Wydawnictwa Szkolnych, Kredytowa 9, sekretariat redakcji podręczników historii Polski.

3) Maszynopisy ew. rękopisy mogą być zaopatrywane w nazwisko autora bądź w dowolne hasło.

4) W pracy autorzy winni oprócz się na następujących dokumentach instrukcyjnych i programowych:  
a) tezy metodologiczne dla autorów podręcznika historii Polski,  
b) tezy dydaktyczne dla autorów podręcznika historii Polski,  
c) projekt periodyzacji historii Polski.

Wymienione pod a), b) c) materiały otrzymać można w PZWS (adres j. w.) na żądanie ustne lub listowne.

5) W toku pracy autorzy mogą zwracać się po konsultacje (adres j. w.), przewidziane są konferencje autorów i zespołowe oceny napisanych części podręcznika.

6) Maszynopisy, ew. rękopisy nadesłane na konkurs, zostaną ocenione do dnia 1.VIII.50 r. przez jury, powołane przez Ministra Oświaty.

7) Dla autorów najlepszych prac, zatwierdzonych do użytku szkolnego, ustanawia się premie w następującej wysokości:

I Przesza Rady Ministrów 400.000 zł  
II Ministra Oświaty 300.000 „  
Ponadto przyznane będą 2 wyróżnienia po 150.000 zł.

Ministerstwo Oświaty zleci PZWS zakup i wydanie drukiem najlepszej, względnie najlepszych prac.

8) Zgłoszenia uczestnictwa w konkursie nadsyłać należy do PZWS (adres j. w.) w terminie do 15.III.1950 r.

MINISTERSTWO OŚWIATY  
Warszawa, 10.I.1950 r.

## KOMUNIKAT PRASOWY

Zakończony został pierwszy etap Festiwalu Sztuk Radzieckich w teatrach Młodego Widza i Lalek.